

Anne Marie Winston

Ogłoszenie matrymonialne

(Tall, Dark & Western)

SCAN
dalous

PROLOG

List, zaadresowany nieznaną kobiecą ręką, Marty Stryker wyciągnął ze swojej skrzynki pocztowej w Kadoce, w stanie Dakota Południowa, z wyraźnym obrzydzeniem. Zachowywał się tak, jakby przesyłka była trująca. Zatrzymał się przy koszu na śmieci i wrzucił do niego ulotki oraz reklamy. Przez chwilę ważył zagadkowy list na dłoni.

Czy powinien go przeczytać? Ostatnie były tak głupie, że nawet nie chciało mu się na nie odpowiadać. Jednym ruchem rozdarł kopertę i rzucił okiem na zapisaną kartkę papieru.

„Drogi Kowboju, De musiałabym wiedzieć o dzieciach, żebyś się ze mną ożenił? Mam osiemnaście lat. Może ci się wydam trochę za młoda, ale...”

Marty prychnął. Kolejny list wylądował w koszu.

Zniechęcony pchnął ciężkie drzwi i wyszedł prosto w objęcia mroźnego, zimowego popołudnia. Zaparkował kilka kroków od Main Street. Szybko tam dotarł. Wcisnął do auta swoje potężne ciało, zapalił silnik i czekał przez chwilę, żeby zrobiło się trochę cieplej. Zdjął kapelusz i rzucił go na siedzenie pasażera. Przeczesał dłonią kędzierzawe, jaśniejsze na końcach włosy.

Ogarnęło go zniechęcenie. Niemal rok temu zamieścił w kilku gazetach w Rapid City ogłoszenie o poszukiwaniu żony. Kto by pomyślał, że tak trudno jest znaleźć właściwą partnerkę?

Oderwał się od swoich myśli. Wyjechał z miasteczka na południe, kierując się w stronę Lucky Stryke, rancza, na którym pracował razem ze swoim bratem, Deckiem. Marty pragnął jedynie milej, pracowitej kobiety, która pomogłaby mu w wychowaniu córeczki i prowadzeniu rancza. Potrzebował kogoś, kto nie stroniłby też od łóżkowych igraszek, kilka razy w tygodniu. Nie oczekiwał deklaracji wielkiej miłości; właściwie nie brał pod uwagę możliwości poślubienia kobiety, która by go pokochała.

Już kiedyś kochał. I strata Lory była nie do zniesienia. Teraz chciał tylko partnerki, kogoś, kogo polubiłby na tyle, żeby móc spędzić razem z nią życie. Nie chciał mieć więcej dzieci, więc jego nowa żona nie mogła o tym myśleć. Ale poza tym nie miał specjalnych wymagań.

A może i miał. Pomyślał o tych kilku ostatnich miesiącach, w czasie których doszło do paru katastrofalnych spotkań. Pijane kobiety, zarozumiałe, które mówiły, że mają trzydzieści lat, podczas gdy było widać, że bliżej im do sześćdziesiątki... A ta, którą w końcu wybrał, powiedziała, że nigdy nie zamieszka w takim zapomnianym przez Boga miejscu, jak Kadoka.

A Marty kochał to miasteczko, dom dla jakichś siedmiuset osób. Kochał szeroką, płaską prerię i łagodne wzgórza, długie zimy i skwarne lata, kochał głupie bydło oraz zapierającą dech w piersiach potęgę burz przewalających się przez te tereny od północy. Spojrzał przez okno na zniszczone przez erozję wzgórza Badlands, które rozciągały się od zachodu, surowe i dziwnie piękne w jego oczach.

Wbrew sobie wrócił myślami do innej wyprawy tą samą drogą. Było to ponad dwa lata temu, jechał w przeciwnym kierunku dużo, dużo szybciej, bo wioził swoją rodzającą żonę do szpitala w Rapid City.

Zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że zbieleły mu kostki. Przegrał wtedy pojedynek z czasem, stracił Lorę i synka, którego nosiła pod sercem. Została mu samotność i smutek. Powtórny ożenek nie był mu w smak, ale musiał myśleć o swojej córce. Śliczna, niesforna Cheyenne potrzebowała matki. Jego też męczyło już spanie w pojedynkę, troska o przygotowanie posiłków i robienie prania pomiędzy karmieniem, znakowaniem i odbieraniem nowo narodzonych cieląt. I nie chciał dłużej patrzeć, jak z braku kobiecej ręki jego dom popada stopniowo w ruinę.

Dlatego mimo wszystko postanowił ciągnąć dalej swe poszukiwania. Nie dbał o to, że brat i przyjaciele uważali to za poroniony pomysł.

Gdzieś musi przecież być odpowiednia kobieta.

Juliette Duchenay wrzuciła kopertę do skrzynki pocztowej w holu poczty w Rapid City.

Minęła minuta, a ona wciąż stała przed skrzynką. Co ją napadło, żeby odpowiadać na to ogłoszenie? Facet szuka żony! Musiała chyba postradać rozum!

Skrzyżowała ramiona na piersi i zapatrzyła się w skrzynkę. Była niewielka. Może gdyby zdjęła zimowy płaszcz, zdołałaby wsunąć rękę do otworu i wyłowić kopertę. To było niezgodne z prawem, ale...

Poważnie się nad tym zastanawiała gdy do pocztowego holu wszedł kolejny spóźniony klient. A potem następny. Najwyraźniej nie czekał jej los

przestępczyni.

Wolnym ruchem podniosła nosidełko, w którym spał jej jedenastotygodniowy syn, Bobby. No, dobrze. Zresztą pewnie ten facet i tak nie odpowie. Może już kogoś znalazł.

Gazeta, w której znalazła jego ogłoszenie, należała do specyficznego typu „znajdź partnera”. Wzięła ją dla zabawy. Chciała się czymś zająć podczas niedawnego lotu do Kalifornii. Czytając ogłoszenia, uświadomiła sobie, że gdyby wyszła za męża, jej teściowa zmuszona byłaby zaprzestać stosowania zabiegów mających na celu ściągnięcie jej z powrotem do Kalifornii i zamieszkanie pod jednym dachem.

Wyjść za męża. To się wydawało dość drastycznym posunięciem, ale jej teściowa była niebezpieczną osobą. Odkąd Juliette owdowiała, z coraz większym trudem przychodziło jej samodzielne podejmowanie decyzji, dotyczących codziennych spraw. Zdażyła się trochę do tego przyzwyczać w czasie kilku miesięcy, jakie minęły od śmierci Roba, ale teraz nie była już w ciąży, nie rozpaczała i nie była nieustannie zmęczona. Niestety, kiedy spróbowała przejąć z powrotem kontrolę nad swoim życiem, Millicent Duchenay ruszyła za nią i podnajęła mieszkanie, które Juliette znalazła. Zniszczyła resztkę zaufania, jakie je łączyło. Teściowa cały czas wyjaśniała, że dla dobra Bobby'ego powinny mieszkać razem, tworzyć rodzinę...

Tego było za wiele dla Juliette. Przeprowadzka do Rapid City wydawała się wtedy zdecydowanym posunięciem. Teraz jednak miała wątpliwości, czy dość zdecydowanym. Millicent miała mnóstwo pieniędzy, a pieniędzmi można załatwić wszystko. Zdołała omamić nimi właścicieli sklepu, gdzie Juliette znalazła pracę. Została zwolniona z dwutygodniowym wypowiedzeniem i ciepłą uwagą, żeby następnym razem nie mówiła teściowej, gdzie pracuje. Znalazła inną pracę, zastosowała się do rady poprzedniego pracodawcy. Jednak coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, jak silne jest pragnienie kontrolowania sytuacji przez jej teściową.

Bobby nie będzie dorastał tłamszony przez rodzinę, tak jak dorastał jego ojciec. Kochała Roba. Spotkali się na studiach. Niedługo po ślubie przenieśli się do jego rodzinnego miasta, gdzie wciąż mieszkała jego matka. Czy wyszłaby za Roba, gdyby zdawała sobie sprawę z tego, jakiego rodzaju więzi łączą go z matką? Nie chciała się nad tym głowić. Kochała Roba. Oczywiście, że i tak by za niego wyszła.

Millicent była toksyczną teściową. Nigdy się nie pokłóciły, głównie

dlatego, że Juliette w kontaktach ze starszą panią przywoływała na pomoc cały swój takt i powściągliwość. Kiedy Rob zmarł, stopniowo zaczęło do niej docierać, że Millicent weźmie jej życie w swoje ręce, jeśli tylko na to pozwoli.

Więc nie pozwoliła.

Ruszyła szybszym krokiem do samochodu. Przypięła Bobby'ego do fotelika na tylnym siedzeniu. Wskoczyła za kierownicę. Jej oko przykuło ogłoszenie, od którego się to wszystko zaczęło:

„Samotny trzydziestokilkulatek. Właściciel dobrze prosperującego rancza szuka pracowitej kobiety. Cel: małżeństwo, prowadzenie domu, opieka nad dzieckiem. Oferuje bezpieczeństwo, wierność i wygodne życie”.

Ogłoszenie wyróżniało się spośród innych między innymi tym, że było napisane wprost. Ten mężczyzna nie opisywał siebie jako romantyka gotowego skąpać kobietę w szampanie i miłości. Nie pisał o rozmiarze stanika u kandydatek, nie wspominał o wieku. Nie obchodziło go, czy lubią przechadzki w świetle księżyca, czerwone róże, wielkie bale i kolacje przy świecach. I, co najważniejsze, musi mieć dzieci, skoro o tym pisał. Wiec pewnie nie przeszkadzałyby mu jedno więcej.

Jednak nie wspomniała o Bobbym w swoim liście. Instynkt podpowiadał jej, żeby z tym poczekać.

Marty Stryker rozdarł kopertę i przeczytał napisaną ręcznie notatkę, która czekała na niego na poczcie w Kadoce.

26 listopada „Drogi Panie, Piszę w odpowiedzi na Pana ogłoszenie. Jeśli to wciąż aktualne, zgłaszam swoją kandydaturę. Mam dwadzieścia cztery lata, byłam zamężna, owdowiałam. Umiem gotować, sprzątać, prowadzić dom. Lubię dzieci i chętnie się zatroszczę o Pana pociechy. Jeśli chciałby się Pan spotkać, mieszkam i pracuję w Rapid City.

Czekam na odpowiedź.

Z poważaniem, Juliette Duchenay”.

5 grudnia „Droga Pani Duchenay, Dziękuję za Ust. Mam czteroletnią córeczkę i potrzebuję kogoś, kto by się nią zajął. Przydałaby mi się również pomoc w domu, bo pracuję na ranczu, więc często mnie nie ma. Chciałbym się z Panią spotkać w Rapid. Najlepiej w sobotę lub niedzielę po południu.

Z poważaniem, Todd Martyn Stryker, Jr. „

12 grudnia „Drogi Panie Stryker, Dziękuję za list. Już się nie mogę doczekać, kiedy mi Pan opowie więcej o swojej córeczce i o ranczu. Czy moglibyśmy się spotkać w barze w centrum handlowym Rushmore Mall w sobotę, 27 grudnia, o 14. 00? Jestem blondynką i będę w czarnej sukience.

Pozdrawiam, Juliette Duchenay”.

20 grudnia „Droga Pani Duchenay, Proszę mówić mi Marty. Sobota, 27 grudnia, 14. 00 to dla mnie dobra pora. Z niecierpliwością czekam na spotkanie z Panią. Włożę brązowy stetson. I będę się za Panią rozglądał.

Pozdrawiam, Marty Stryker”.

Rozdział 1

Zwrócił na nią uwagę w tej samej sekundzie, w której stanął w drzwiach baru w Rushmore Mail. Nie dlatego, że była jakoś szczególnie ubrana, co zwykle lubił u kobiet, ale dlatego, że była tak piękna.

Piękna, powtórzył w myślach. Nie po prostu ładna, na pewno nie milutka, ale oszałamiająco wspaniała.

Była drobna, pewnie miała niewiele więcej ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Robiła wrażenie tak filigranowej, że silniejszy podmuch wiatru mógłby ją unieść w powietrze. Stała w przejściu koło kontuaru, a zza okna właśnie wpadł słaby, zimowy promień słońca i rozjaśnił na moment jej srebrzystoblond włosy. Marty'emu tylko jedna myśl kołatała się po głowie: że ona wygląda jak anioł.

Miała chyba największe niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział, a lśniące włosy związała w jakiś wytworny sposób w węzeł na karku. Mały, prosty nos i umalowane, pełne, choć niewielkie usta, przypominały mu idealną lalkę z porcelany. Prosta, czarna sukienka podkreślała jej urodę oraz szczupłą, niemal dziewczęcą figurę. Spojrzała na niego, błysnęła intensywnym błękitem oczu, po czym odwróciła wzrok, a na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

Marty był pod wrażeniem. I nieźle się nakręcił. Nie miał kobiety od... w każdym razie od bardzo dawna. To naprawdę zły znak, gdy mężczyzna nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kochał się z kobietą.

Ale przecież nie miał na to czasu, nie wspominając o przypadkowych okazjach. Samotne kobiety nie były w Kadoce powszechnie dostępne, a z tymi kilkoma, które gotowe były spojrzeć na mężczyznę z życzliwością, nie miał ochoty się zadawać. W końcu był ojcem rodziny. Musiał się trzymać pewnych standardów.

Lecz czy nie byłoby wspaniale, gdyby to właśnie ona... ? Spokojnie, spokojnie, przerwał sobie, nim zdążył dokończyć myśl. Nie potrzebował pięknej żony. Zresztą w czasie swoich poszukiwań poznał już wiele pięknych kobiet, i to bardziej w jego typie niż ten mały aniołek. Z żadną nic nie wyszło. Obiecał sobie, że następnym razem nie będzie taki wybredny. Nie mógł sobie pozwolić na szukanie żony idealnej, bo zabraknie mu kandydatek.

A potrzebował żony. Nie tylko do łóżka, ale żeby dotrzymywała mu towarzystwa. Boże, tak bardzo brakowało mu dzielenia z kimś najzwyczajniejszych rzeczy, takich jak wybieranie prezentu urodzinowego dla Cheyenne, picie porannej kawy i rozmów.

A wtedy anioł odwrócił się znowu w jego stronę. Tym razem dziewczyna zatrzymała na nim wzrok i uniosła pytająco brwi. Ruszyła w jego stronę, a on sobie przypomniał, że kandydatka na żonę miała być ubrana na czarno.

Serce zaczęło bić jak oszalałe. Wstał i zdjął kapelusz, który był jego znakiem rozpoznawczym.

– Pan Stryker?

Stała teraz przed nim.

Kiwnął głową. Bał się odezwać, bo nie był pewien, czy może zaufać swojemu głosowi.

– Jestem Juliette Duchenay.

Anioł podał mu rękę, po czym się uśmiechnął.

Marty miał nadzieję, że na jego twarzy nie odmalował się wstrząs, jakiego teraz doznał. Wolno wyciągnął rękę i uścisnął delikatną dłoń. Z uśmiechem na twarzy zmieniła się z klasycznej piękności w zniewalającą. W jej oczach pojawiły się psotne iskierki, a zęby błyskały idealną bielą. Jej uśmiech miał w sobie coś z elfa, było w nim szczere, przyjazne ciepło, które bardzo mu się spodobało. Bardzo.

– Miło panią widzieć.

Wreszcie zdołał coś z siebie wydusić. Miała najmniejsze dłonie, jakie kiedykolwiek widział, a jej skóra była dokładnie tak ciepła, miękka i kobieca, jak sobie wyobrażał.

Zapadła cisza.

Marty siłą wyrwał siebie z odrętwienia, w jakie popadł. Zwykle świetnie sobie radził z kobietami. Jeśli zaraz nie zacznie rozmawiać, to Juliette Duchenay pomyśli sobie, że jest jakimś tępakiem z prerii, który nie umie sklecić jednego zdania.

– Może pani usiądzie? Proszę. Niezły początek.

– Dziękuję.

Jej policzki znowu zabarwił rumieniec. Dyskretny uścisk uświadomił mu, że wciąż trzyma jej dłoń w swojej. Puścił ją z niepokojąco dużym żalem. Polubił trzymanie jej za rękę. Rumieniec się pogłębił, gdy odsunął dla niej krzesło. Zastanawiał się właśnie, czy skóra na jej policzkach jest tak

dziewczęco delikatna i gładka, na jaką wygląda. Uśmiechnęła się do niego, gdy usiadł po drugiej stronie małego, białego stolika.

– Dobrze, że pan włożył kapelusz. Łatwo było pana dostrzec.

Kiwnął głową. Nie zamierzał jej mówić, że wypróbował tę metodę z jakimś tuzinem kandydatek.

– Cieszę się. – Wskazał na kontuar barowy za palmami w doniczkach i białymi kolumnami. – Ma pani ochotę na coś do jedzenia lub do picia?

– Nie, dziękuję. – Pokręciła głową. Spojrzała na elegancki, złoty zegarek na szczupłym nadgarstku. – Wyszłam z pracy, więc nie mam za dużo czasu. Może po prostu porozmawiamy?

Kiwnął głową. Wziął głęboki wdech.

– Dlaczego pani odpowiedziała na moje ogłoszenie?

Czemu taka kobieta chce wyjść za obcego? – pomyślał zdziwiony.

Zmarszczyła delikatne brwi. Była zakłopotana.

– Ja... to był impuls, jeśli mam być szczerą.

– I co pani teraz myśli o tym impulsie? Pani Duchenay, mnie nie interesuje nic krótkoterminowego. Chodzi o stały związek.

– Mam na imię Juliette. Wciąż jestem zainteresowana, panie Stry... Marty.

Jej oczy były łagodne i lśniące. Mógłby w nie bez najmniejszego problemu patrzeć przez resztę życia.

– To dobrze.

Chciał wziąć ją za rękę, dotknąć jej znowu. Boże, jaką ona miała miękką skórę. Czy wszędzie była taka miękka? Ledwie mógł się doczekać, żeby to sprawdzić.

– A więc – powiedział – pracujesz w centrum handlowym.

– Tak – odparta. – A ty masz ranczo.

Wiedział, że nawet gdyby nie napisał o tym w ogłoszeniu, i tak było to po nim widać. Był mocno opalony od pracy na świeżym powietrzu, zwłaszcza że nim przyszyły niedawne opady śniegu, mieli długą i łagodną jesień. Kiedy zsunął swoje wielkie rękawice i popatrzył na dłonie, wiedział, że one też go zdradzały: pokryte były bliznami powstałymi w czasie spotkań z rozszalałym bydłem, drutem kolczastym, drzazgami i młotkiem. Nie były to dłonie chłopca z miasta.

– Krowy czy owce? – zapytała ślicznotka.

– Krowy. Mam z bratem ranczo niedaleko Badlands. Nazywa się Lucky

Stryke.

– Mieszkasz tam od zawsze?

– Całe życie. A ty jesteś stąd?

Był niemal pewien, że nie, ale nie potrafił rozpoznać jej akcentu.

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią. Wreszcie się odezwała:

– Nie. W Rapid City jestem od niedawna. Urodziłam się w Kalifornii, ale moja rodzina często się przenosiła z miejsca na miejsce, więc nie mam „domu”.

– Gdzie pracujesz?

– W tej chwili w sklepie z damską odzieżą. Moje marzenie to praca w księgarni. Oczywiście nic bym tam nie zarobiła, bo wszystko od razu wydałabym na książki.

Marty się roześmiał.

– Wiem, o czym mówisz. Co lubisz czytać?

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko, co mi wpadnie w ręce. Beletrystykę, biografie, książki popularnonaukowe, czasopisma... ważne, żeby było dobrze napisane i ciekawe.

– Czy czytujesz informacje na pudełkach z płatkami śniadaniowymi? – powiedział.

Uśmiechnęła się znowu, a on po raz kolejny zachwycił się nią. Czy spotkał już kiedyś tak piękną kobietę? I tak pełną życia?

– Lepiej się o to nie zakładaj – odpowiedziała, a jemu potrzeba było dłuższej chwili na przypomnienie sobie, że rozmawiali o pudełkach z płatkami.

Znowu zapadła cisza. Marty uśmiechnął się do niej. Zupełnie go oczarowała. Pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że musisz się ogłaszać, aby znaleźć żonę.

Wzruszył ramionami.

– Wcale nie tak łatwo znaleźć dziewczynę, która będzie chciała zamieszkać gdzieś na pustkowiu w towarzystwie mnóstwa krów.

– Kogo dokładnie szukasz? – zapytała. – Do czego potrzebna ci żona?

Marty przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Nie będę owijał w bawełnę – powiedział wreszcie. – Pracuję od rana do wieczora, przede wszystkim na zewnątrz. Potrzebny mi ktoś, kto utrzyma dom w czystości, zrobi pranie i zaceruje ubrania, ugotuje coś i zatroszczy się

o moją córeczkę. A latem może zajmie się ogrodem.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

– Nie boję się pracy i lubię gotować, ale musiałbyś mnie nauczyć rzeczy dotyczących ogrodu i zwierząt.

Więc była z miasta, tak jak podejrzewał.

– To się da zrobić.

– Ile lat ma twoja córka?

– W czerwcu skończy pięć. Jej mama zmarła dwa lata temu i... – Jak zwykle serce skurczyło mu się z żalu i poczucia winy. Stłumił silną falę emocji. – Ona potrzebuje kobiecej ręki – skończył cicho.

Juliette kiwnęła głową. Była poważna i współczująca. Marty żałował, że nie jest innym mężczyzną w innym czasie i że spotkał ją dopiero teraz, gdy jest obciążony bagażem całego życia. Ogarnęło go poczucie winy. Jak w ogóle może o czymś takim myśleć, skoro obiecywał Lorze wieczną miłość? Do grobowej deski. Miał ochotę zmiażdżyć sobie głowę rękami.

– Wiem, że to nie brzmi szczególnie pociągająco...

– Dla mnie brzmi – powiedziała. Spojrzał na nią.

– Naprawdę?

– Chyba lubię być gospodynią. – Uśmiechnęła się. – To miałeś na myśli, prawda?

– Tak. Chociaż zdaje się, że obowiązujące określenie to „zarządzająca gospodarstwem domowym”.

Roześmiała się.

– Podoba mi się. – Spojrzała znowu na zegarek. – Muszę wracać do pracy.

– Boisz się, że cię wyleją? Uśmiechnęła się spokojnie.

– Nie. Jestem dobrą sprzedawczynią.

– Lubisz tę pracę? Wzruszyła ramionami.

– Praca jak praca. Zło konieczne.

– Chyba że za mnie wyjdiesz.

Powiedziane na głos, zabrzmiało tak... intymnie. Od razu stanęły mu przed oczami długie, ciemne noce w ciepłym łóżku.

Podniosła na niego wzrok. Na długą chwilę zapomniał o wszystkim dookoła. Pograżył się w jej oczach. Czy myślała o tym samym co on?

– Naprawdę muszę już iść – powiedziała cicho, wstając od stolika.

Ruszyła powoli w stronę wyjścia, a on złapał kapelusz i pobiegł za nią.

Wziął ją za łokieć. Wyszli na ulicę. Główny pasaż wydawał się dość przestronny w porównaniu z zatłoczonym barem.

Marty czuł jej drobne kości, gładką, promieniującą ciepłem skórę. Kiedy szła obok niego, wydawała się taka drobna. Ciągnęło go do niej, ciągnęło tak bardzo, że cisnęło w żołądku, a całe ciało zdawało się wibrować. Jego serce wciąż należało do Lory, ale ciało wiedziało, że ona odeszła dwa lata temu.

– Odprowadzę cię – powiedział.

– Dobrze – zgodziła się. – To niedaleko.

Szli pasażem, mijali sklepiki z biżuterią, odzieżą dla ciężarnych kobiet, okularami przeciwsłonecznymi i wyrobami ze skóry.

Zwolniła przed jednym z butików na rogu skrzyżowania, na które właśnie weszli.

– To tutaj. Spojrzał na witrynę.

– To tu pracujesz?

– Tak.

Poczuł falę gorąca, a to, co działo się w jego spodniach, zaczynało stawać się krepujące. Sztyld sklepu głosił: „Ukryte przyjemności”. Potrafił sobie wyobrazić, czemu trzymano je w ukryciu. Juliette pracowała w sklepie z damską bielizną! I to nie byle jaką! Sprzedawano tu cieniutkie, przejrzyste drobiazgi obszyte koronką, wykończone satyną i aksamitem, zadziwiająco skąpe. Każdy mężczyzna marzy o kobiecie, która ma coś takiego na sobie. Albo nie ma.

– Marty? – Juliette uśmiechała się w taki sposób, że prawie do końca postradał rozum.

Spojrzał na nią nieprzytomnie. Czuł się zażenowany.

– Przepraszam – wybąkał – Trochę się zdziwiłem. Wyciągnęła do niego rękę.

– Odezwiesz się jeszcze?

Czy on się odezwie? A czy Ziemia krąży wokół Słońca?

Potrzebował jeszcze trochę czasu, żeby się upewnić, ale już prawie wyobrażał sobie Juliette w swoim domu.

– A co powiesz na drinka po pracy? – zapytał. – Moglibyśmy się trochę lepiej poznać.

Uśmiech zniknął, a na jej twarzy odmalował się niepokój. Po czym znowu się rozpogodziła.

– Dobrze, ale nie na długo. Coś na mnie czeka w domu.

– Świetnie. To do zobaczenia... o której?

– O siódmej. Spotkamy się tutaj.

Odwróciła się i weszła do sklepu. Zerknęła jeszcze przez ramię i pomachała do niego na do widzenia.

Bardzo się cieszył, że się nie odwróciła, bo w żaden sposób nie byłby w stanie ukryć tego, jak jego ciało reagowało na jej uśmiechy. Pośpiesznie odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem pasażem. Próbował myśleć o wszystkim, tylko nie o kobietach i sypialniach.

I nie o zbliżającej się randce z Juliette Duchenay, sprzedawczynią ze sklepu z seksowną bielizną i jego potencjalną żoną.

Pojawił się za dwadzieścia siódma.

Juliette zauważyła go przez okno wystawowe, kiedy wystukiwała rachunek i pakowała zakupy jakiemuś klientowi. Marty rozsiadł się na jednej z ławek stojących pośród sztucznych drzew na środku pasażu. Miał ze sobą torbę, z której wyciągnął książkę.

Sama nie wiedziała, czego się spodziewała po człowieku, który dał ogłoszenie, że szuka żony, ale na pewno Marty był ostatnim mężczyzną, jakiego by sobie wyobraziła w tej roli. Był nieprzyzwoicie przystojny. W odróżnieniu od jej prostych, srebrzystych włosów, jego tworzyły kasztanową aureolę niesfornych loków, których końcówki były rozjaśnione słońcem. Kapelusz położył obok siebie na ławce.

Jego oczy miały kolor najczystszeo błękitu. Nigdy takich nie widziała. Robiły wrażenie jeszcze bardziej niebieskich w kontraście z mocną opalenizną, dzięki której jego skóra była świetlista. Miał na sobie ciężką, skórzaną kurtkę, a pod nią wygodne dżinsy i kowbojską koszulę. Był barczysty, wąski w biodrach, miał długie nogi. Bardzo, bardzo męski.

Zanim poprzednio go opuściła, spojrzała przez ramię i pomachała do niego. Patrzyła potem, jak się oddalał. Dżinsy podkreślały kształt jego pośladków i muskulaturę nóg. Zaczęła sobie wyobrazać, jaki jest jako kochanek. Ta myśl ją zaalarmowała.

Czy rzeczywiście poważnie zastanawiała się nad poślubieniem absolutnie obcego człowieka?

Znała już odpowiedź na to pytanie. Gdyby w barze pojawił się inny mężczyzna, pewnie by go grzecznie przeprosiła i powiedziała, że zaszła

pomyłka. Miała złe przeczucia już w dniu, kiedy wysłała Ust, a kiedy dostała odpowiedź, niewiele brakowało, żeby stchórzyła.

Ale teraz... teraz wszystko wyglądało inaczej.

Gdy wtedy, w barze, ich spojrzenia po raz pierwszy się skrzyżowały, poczuła się tak, jakby dostała cios w brzuch. Musiała sobie przypomnieć, że powinna wziąć kolejny oddech. Czy kiedykolwiek w ten sposób ciągnęło ją do Roba? Kiedyś przecież musiało. Oczywiście, że tak. To tylko obciążenie wdowieństwem i macierzyństwem przytępiło jej wspomnienia.

Zauroczenie. Nic więcej. Powinna odsunąć to od siebie równie łatwo, jak w przypadku każdego innego mężczyzny. Ale teraz spotkała Marty'ego. Okazało się, że pod tym oszłamiającym wyglądem kryje się człowiek o dość intrygującej osobowości.

Polubiła go. Bardzo go polubiła.

Pewnie, że tak, pomyślała, idąc na tył sklepu za kolejnym klientem. Z jakiego innego powodu dzwoniłaby do opiekunki do dziecka i prosiła, by została dziś z Bobbym dłużej niż zwykle? Dotąd wariacko spieszyła się do domu. Nawet teraz czuła się nieco rozdarta. Zanim urodził się jej synek, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak silne mogą być uczucia macierzyńskie. Rządziły każdym jej krokiem. Niemal o wszystkim myślała pod kątem tego, jak oddziaływały to na jej Bobby'ego.

Chyba zwariowała. Lecz Marty działał na nią tak silnie, że nie potrafiła się oprzeć. Wydawał się dobrym człowiekiem. Byłby z niego świetny ojciec dla jej syna. Jeśli nie spróbuje, będzie zawsze żałowała niewykorzystanej szansy, która mogła odmienić jej życie.

Pozostałe kilka minut przed zamknięciem sklepu ciągnęło się niemiłosiernie. W końcu ostatni klient wyszedł.

Marty uniósł głowę i poszukał jej wzrokiem. Kiedy ich oczy się spotkały, zabrakło jej tchu w piersiach. Nie uśmiechał się, nie ruszył z miejsca, a jednak jego spojrzenie wwiercało się w nią z niewysłowioną zaborczością. Miała wrażenie, że pod jego wpływem zaczyna czuć każdy najdrobniejszy nerw w swoim ciele.

Ten moment trwał jeszcze długo po tym, jak skończyła się ta wymiana spojrzeń. Marty poczekał, aż zamknie ciężkie, zakratowane drzwi sklepu, po czym poszli razem na parking. Zaprosił ją do popularnego pubu, którego nazwę знаła z rozmów współpracowników. Zapytała, czy mogłaby pojechać za nim własnym samochodem. Nie miał nic przeciwko temu.

Pub był duży, hałaśliwy i zatłoczony. Posadził ją przy stoliku obok parkietu i poszedł do baru. Kiedy wrócił z napojem gazowanym, o który poprosiła, ze zdziwieniem stwierdziła, że dla siebie zamówił to samo.

Najwyraźniej zauważył jej zaskoczenie, bo powiedział:

– Mam przed sobą dwugodzinną jazdę. Kiwnęła głową.

– Słusznie.

Wskazał w stronę par podrygujących na parkiecie.

– Tańczysz?

Pokręciła głową.

– Przyglądałam się, ale nie, nie tańczę. Nigdy nie próbowałam.

– No to najwyższy czas spróbować. Wziął ją za rękę i ruszyli w stronę parkietu.

– Marty! Będę ci deptać po palcach!

Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię. Zacisnął wargi, ale nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Jesteś malutka. Będę cię trzymał wysoko i w ogóle nie dotkniesz podłogi.

Uśmiechnęła się na to i pozwoliła się wciągnąć pomiędzy tańczących. Lecz kiedy stanął naprzeciwko niej z otwartymi ramionami, nagle dotarło do niej, że praktycznie nie zna tego człowieka. To nic takiego, powiedziała sobie w myślach. To tylko taniec.

Jednak w głębi ducha bała się, że w przypadku tego konkretnego mężczyzny to może być dużo, dużo więcej. I kiedy objął ją w pasie, poczuła się tak dobrze, że automatycznie rozluźniła się.

Przetańczyli kilka utworów. Marty cierpliwie uczył ją kroków; był dobrym tancerzem. Jej pozostawało tylko dać się prowadzić.

Słowa romantycznej piosenki docierały do niej z całą ostrością. Gdy przyciągnął ją bliżej i oparł brodę na jej głowie, poczuła, że mogłoby to trwać całą wieczność. Krążyli wolno po parkiecie, a ona walczyła z przemożną ochotą przytulenia się do niego.

– Muszę cię o coś zapytać.

Jego głos zadudnił nisko znad jej głowy. Spojrzała na niego. Chciała patrzeć mu w twarz.

– Tak?

Tak, możesz mnie pocałować. Proszę, pocałuj mnie, powtarzała w myślach.

Marty schylił głowę, tak że wargami niemal dotykał jej ucha.

– Czy nosisz te rzeczy, które sprzedajesz?

Jego głos był niski i chrapliwy. Przytulił ją mocniej, a wargami muskał krawędź ucha. Była tak pobudzona, że przylgnęła do niego jeszcze ciaśniej. Jego dłonie powędrowały w dół po jej plecach.

Przełknęła ślinę.

– Chyba będziesz musiał poczekać i sam sprawdzić.

Na Boga, Juliette! Co w ciebie wstąpiło? – pomyślała.

Zamarł na sekundę, po czym zrobił obrót i znowu przytulił ją mocno do siebie. Słyszała, jak zachichotał pod nosem.

– Dobrze. Kiedy masz wolny termin? Podniosła głowę.

– Wolny termin? Na co?

– Na ślub – odpowiedział. – Chciałbym się z tobą ożenić.

Otworzyła usta. I zamknęła je bez słowa. Na Boga! Spodziewała się, że będzie miała trochę więcej czasu do zastanowienia.

– Ja też chciałabym za ciebie wyjść – powiedziała. – Ale...

– Co powiesz na piątek? – zapytał. – Załatwię papiery i wszystko zorganizuję. Zaczniemy nowy rok od ślubu.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

– Najbliższy piątek? To... to niedługo! Kiwnął głową, rozbawiony jej reakcją.

– Ja nie mam powodów, żeby czekać. A ty?

Chciała powiedzieć, że tak, ale jakoś nie mogła tego z siebie wydusić.

– Chyba... chyba nie.

– Dobrze.

Odetchnął głęboko. Juliette odruchowo spojrzała na zegarek. Czyżby już była prawie dziewiąta? Boże, musi wracać do Bobby'ego! Ze smutkiem pomyślała, że w ramionach Marty'ego mogłaby spędzić tydzień i wcale by tego nie zauważyła.

– Muszę już iść – mruknęła z żalem.

– Tak, ja też powinienem ruszać. Me wypuścił jej jednak z objęć. W końcu sama się wysunęła.

– Naprawdę muszę iść.

Marty sięgnął przez barierkę odgradzającą przestrzeń do tańca od stolików i wziął swoją kurtkę oraz jej długi, zimowy płaszcz. Pomógł jej go założyć, po czym zarzucił swoje okrycie. Następnie, jakby robił to od lat,

wziął ją za rękę i wyprowadził z baru na parking, gdzie zostawili swoje samochody.

Odprowadził ją do auta i stanął obok drzwi kierowcy. Wciąż trzymał ją za rękę.

– Juliette... – powiedział cicho i z wahaniem.

– Tak?

Sama się zdziwiła, że mówi szeptem.

– Mam uczucie, jakbym cię znał o wiele dłużej niż tylko jeden wieczór.

Kiwnęła głową. Ucieszyła się, że oboje odczuwają tę magię.

– Wiem.

Podszedł bliżej, położył sobie jej dłonie na ramionach, po czym przyciągnął ją do siebie.

– Chcę cię pocałować – powiedział.

Kiedy poczuła ciepło jego ramion, kiedy jego głowa zasłoniła roziskrzone gwiazdami niebo, zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła, gdyby jej nie pocałował. Bo chciała czuć jego wargi na swoich bardziej niż cokolwiek na świecie. Tylko raz w życiu tak czegoś pragnęła. Kiedy miała pięć lat, myślała, że umrze, jeśli nie dostanie lalki w Disneylandzie.

Czuła jego ciepły oddech na policzkach, a zaraz potem nastąpił pocałunek. Wrażenie było niesamowite. Zarzuciła mu ręce na szyję. Oddała mu się bez słowa, lecz on rozumiał jej gesty.

Brakowało jej tego, brakowało jej ciepła fizycznych przyjemności, jakie może sobie dać dwoje ludzi. Chociaż musiała też uczciwie przyznać, że nigdy w życiu nie była tak drżąca i rozdygotana.

Jego wargi robiły się coraz śmielsze. Była teraz przytulona do niego całym ciałem. Czuła, jak jego usta wypalają gorące ślady na jej szyi, schodzą coraz niżej i niżej. Złapał ją delikatnie zębami za obojczyk. Zadrżała. Zsunął się jeszcze niżej. Pieścił jej piersi przez koronkową tkaninę stanika.

Juliette ledwie łapała oddech.

A on wtedy uniósł głowę. Znieruchomiał, ona również. Uniósł ją do góry, tak że patrzył jej prosto w oczy. Zdała sobie sprawę z tego, iż wplątała palce w jego włosy z taką siłą, że to musiało być bolesne. Ciężko oddychał, każdy miesiąc jego wielkiego ciała robił wrażenie stalowego. Juliette rozluźniła dłonie i opuściła je na jego pierś. Wraz z powracającym rozsądkiem pojawiło się zakłopotanie. Co Marty sobie o niej pomyślał?

– Jesteśmy na parkingu – powiedział przez zaciśnięte zęby. Westchnął i oparł głowę o jej czoło. – Rzeczy, które chciałbym z tobą robić, nie da się zrobić na parkingu ani w żadnym innym miejscu publicznym. To musi poczekać, aż się lepiej poznamy.

– Dziękuję – powiedziała cicho. Zastanawiała się, czy w wieczornym świetle widać rumieniec, który czuła na swoich policzkach. – Ja nie... to znaczy zwykle... – Przerwała, bo to nie była prawda.

Robiła to i posunęłaby się dalej. Z nim.

– Wiem. – Pocałował ją w brew. – Wiem. To również nie w moim stylu. – Delikatnie uniósł jej podbródek, wziął jej twarz w dłonie i patrzył na nią przez chwilę. – Masz kartkę papieru i coś do pisania?

– Chyba mam.

– To zapisz mi swój numer telefonu.

– Och, tak, już.

Zanurzyła rękę w torebce i wykonała posłusznie jego polecenie. Podała mu kawałek papieru. Wciąż z trudem oddychała i trochę się jej trzęsły ręce.

– Cieszę się, że nie jestem jedynym, który ma kłopoty z dojściem do siebie – zażartował, a ona uśmiechnęła się do niego.

Przytulił ją jeszcze raz.

– Zadzwoń w tygodniu.

– Wracam bardzo późno – powiedziała. – Dzwon po dziewiątej.

Skłamała. Chciała mieć możliwość cieszenia się jego telefonem, a kiedy Bobby nie spał, trudno było zajmować się czymkolwiek innym.

– Dobrze. Wtedy porozmawiamy o piątku.

– Marty... Piątek jest tak przeraźliwie blisko. To szaleństwo!

Kiwnął głową.

– Gdybyśmy byli nastolatkami bez doświadczenia, tobym się z tobą zgodził. Ale jesteśmy dorośli. Myślałem o powtórny ożenku od jakiegoś czasu i wiem, czego chcę. – Schylił głowę. – Chcę ciebie.

I ja ciebie chcę, odpowiedziała w myślach. Kocham cię. Ledwie zdołała się powstrzymać przed powiedzeniem tego na głos. Była kompletnie zaszokowana. Czy naprawdę mogła zakochać się w mężczyźnie, którego poznała kilka godzin temu?

Oczywiście, że nie. To zwykle zadurzenie. Nikt się nie zakochuje w takim tempie, prawda?

Marty wypuścił ją wreszcie z objęć i popchnął w stronę samochodu.

Wyciągnęła kluczyki z torebki. Wziął je od niej, otworzył drzwiczki, pomógł jej wsiąść. Był tak szarmancki, że gdyby się wcześniej nie zakochała, zrobiłaby to bez wątpienia teraz.

– Pomyśl o tym i daj mi znać.

Pochylił się i jeszcze raz ją pocałował. Pogłaskał ją po policzku i zamknął drzwi. Począkał, aż zapaliła silnik i dopiero wtedy ruszył w stronę swojej półciężarówki.

Patrzyła, jak wskakuje za kierownicę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że on czeka, aż ona wyjedzie. Ujął ją tym.

Jej euforię nagle przełamało poczucie winy. Jechała do domu i myślała o tym, że nie powiedziała mu o swoim dziecku.

Powie mu, przekonywała siebie. Po prostu wszystko było takie nowe, wyjątkowe. Takie idealne. Przygotowała się na to, że z wdziękiem wycofa się z całej sytuacji. Nie zamierzała tak naprawdę poważnie zastanawiać się nad zaaranżowanym małżeństwem, ale kiedy poznała Marty'ego...

Uśmiechnęła się do swoich marzeń, gdy parkowała niedaleko domu. Niedługo powie mu o Bobbym. Gotowa była się założyć, że martwi się niepotrzebnie. Marty na pewno jest dobrym ojcem dla swojej córeczki. Będzie równie dobry dla jej syna.

Rozdział 2

W niedzielę rano Marty i jego brat ciągnęli zapalki, żeby ustalić, któremu z nich dostanie się zadanie nie do pozazdroszczenia – wymiana zbutwiałych słupków w ogrodzeniu dookoła dużego, zimowego pastwiska. Ociepliło się, stopniał śnieg, który spadł w zeszłym tygodniu. Bracia zamierzali zrobić, ile się da, nim znowu ich zasypie.

Nawet wyciągnięcie krótszej zapalki nie popsło Marty'emu humoru. Depk przyjrzał mu się podejrzliwie i wręczył łopatę do kopania otworów pod słupki.

– Wyglądasz jak wioskowy idiota. Powiesz mi, o co chodzi?

– Nie.

Marty wrzucił narzędzia na pakę półciążarówki, a Deck podał mu jeszcze zwój drutu kolczastego.

– Na moje oko jedyną rzeczą, która może sprawić, że mężczyzna uśmiecha się w ten sposób, jest kobieta. Co robiłeś wczoraj w Rapid City?

– Nie twoja sprawa. Deck zachichotał.

– Wiedziałem! Byłeś z kobietą.

Pewnie, że był, ale nie zamierzał na razie opowiadać o tym bratu. To było zbyt świeże, zbyt... wyjątkowe, żeby się tym dzielić.

Podśpiewywał sobie pod nosem przez całą drogę na pastwisko. Oglądał wspaniałe kolory nieba, które nie zapowiadało opadów.

Bez wątpienia ostatni wieczór należał do najlepszych chwil od bardzo, bardzo dawna. Był najzupełniej pewny, że przekona Juliette do ślubu w piątek. Ekscytował się jak dziecko. Nie mógł przestać myśleć o następnym weekendzie.

Nie, to nie tak. Owszem, był podekscytowany, ale żadne dziecko nie doświadczało takich uczuć, otwierając prezent, jakie wzbudzało w nim jej szczupłe ciało, delikatne wargi i duże, niebieskie oczy. Czuł takie ciśnienie, że miał wrażenie, iż zaraz wybuchnie.

Poczeka. Nie za długo, ale do piątku poczeka. Dopiero wtedy pójdzie z Juliette do łóżka.

Zastygł z rękoma zaciśniętymi na słupku, który właśnie wkopywał. Pozwolił swoim myślom poszybować tym tropem. Po raz pierwszy od śmierci Lory poważnie myślał o kimś. Wcześniej małżeństwo rozważał na

innym poziomie, a seks, który miał się wraz z nim pojawić, był kwestią nieco abstrakcyjną. Aż do teraz. Och, zdarzyło mu się kilkakrotnie kochać z kobietami w ciągu tych dwóch lat, jakie minęły od śmierci żony, ale nigdy nie było to coś ważnego, partnerki nic dla niego nie znaczyły. I jemu, i im chodziło tylko o dobrą zabawę.

Z Lora, podczas ich dziewięcioipółrocznego małżeństwa, kochał się często. Była jego pierwszą i jedyną kobietą. Kochał ją, i to jak. Kiedy się pobrali, tydzień po skończeniu szkoły średniej, wydawało mu się, że nie może być bardziej szczęśliwy. Pomylił się. Gdy na świat przyszła Cheyenne, szczęście się podwoiło.

Posmutniał na myśl o ciąży Lory. Marzył o wypełnieniu domu dziećmi – swoimi i Lory. Lecz to nie miało się spełnić. Zanim urodziła się Cheyenne, Lora trzy razy poroniła.

A potem... zaszła znowu w ciążę. Już na samym początku pojawiły się jakieś powikłania. Doktor ostrzegwał ją przed forsownym wysiłkiem. Oboje bali się utraty dziecka. Dlatego Marty zmusił ją, by na kilka tygodni została u przyjaciółki w Rapid. Ale czuła się tak dobrze, że wkrótce wróciła do domu. Jej brzuch rósł, a oni zapomnieli o obawach.

To przyszło w najgorszym możliwym momencie. Lora zaczęła rodzić dwa miesiące przed terminem, zupełnie bez ostrzeżenia. Marty był gdzieś w terenie, spędzając bydło na pastwisko, dużo dalej od domu niż zwykle. Lora przyjechała do niego po wybojach w rozklekotanej ciężarówce, co na pewno nie poprawiło jej stanu. Od razu wyruszyli do szpitala.

Ale nie zdążyli. Poród był szybki i przerażający. Pokonawszy trzy czwarte drogi do Rapid City, Marty musiał się zatrzymać i sam przyjąć poród. Chłopczyk był tak mały i delikatny, że cudem wydawało się, że w ogóle oddycha. A Lora krwawiła i krwawiła... Nie mógł zrobić nic ponad zawinięcie nowo narodzonego synka w kurtkę i jazdę na pełnym gazie do szpitala.

Nie pamiętał ostatnich chwil tej oszalałej podróży, kiedy coraz słabszy głos Lory przestał wreszcie odpowiadać na jego błagania, by nie zasypiała, by została z nim, by do niego mówiła...

Nie był w stanie myśleć o tych bolesnych godzinach, dniach, które spędził potem w poczekalni szpitala. Dlatego wolał myśleć o Juliette.

Bardzo różniła się od Lory, która była wysoka i mocna, miała duży biust i szerokie biodra, które powinny jej pozwolić urodzić z tuzin dzieci. Nie,

Juliette w ogóle nie przypominała Lory. Była mała, szczupła, delikatna i tak drobna, że bał się nieostrożnego ruchu, bo mógłby jej zrobić krzywdę.

. Jaki byłby seks z nią? To byłby tylko seks, bo przecież jej nie kochał. Prawda?

Ale wiedział, że gdyby czuł pod sobą to delikatne ciało, gdyby widział, jak ona reaguje na jego pieszczoty, pozwoliłby sobie zanurzyć się w przyjemnościach, jakie by mu zaoferowała, i nie myślałby o Lorze.

Wszystko było tak niepokojące, że postanowił wyrzucić to z głowy.

Wczoraj wieczorem, gdy przyjechał do domu, miał ochotę zadzwonić do Juliette, ale zrezygnował, bo nie chciał robić wrażenia zbyt natarczywego. Lecz gdy walczył z darnią, żeby wykopać kolejny dołek pod słupek, zdał sobie sprawę z tego, że dziś nic go już przed tym nie powstrzyma.

Ledwie doczekał umówionej godziny. Była minuta po dziewiątej, gdy wykręcił numer. Telefon zadzwonił dwa razy, po czym usłyszał zadyszany, kobiecy głos.

– Halo?

– Juliette.

– Marty?

– Tak. Cześć.

– Cześć.

Jeśli nawet zdołał wzbudzić w sobie jakieś wątpliwości co do niej, to teraz zniknęły błyskawicznie. Wystarczył sposób, w jaki jej cichy głos wymówił jego imię. Zamknął oczy i powiedział pierwszą rzecz, jaka przysła mu w tej chwili do głowy.

– Chciałbym być tam teraz z tobą.

Zapadła cisza. Zbeształ się w myślach za arogancję. Fakt, że on czuł się... jak zakochany, nie oznaczał jeszcze, że ona musiała to odwzajemniać.

Wtedy przerwała milczenie:

– Ja też bym chciała, żebyś tu był. Ujęła go delikatna nuta szczerego żalu.

– Tęsknię za tobą.

– To szaleństwo. Nie znasz mnie na tyle, żeby za mną tęsknić. – Przez chwilę milczała, po czym dodała: – Ja też za tobą tęsknię.

Wziął głęboki oddech. Serce biło mu coraz szybciej. Musiał ostro wziąć się w karby, żeby nie powiedzieć, że wskakuje za kierownicę i jedzie prosto

do Rapid City. Gdyby nie Cheyenne, mógłby to zrobić.

– Więc co powiesz na piątek, pierwszą po południu?

– Pierwszą? – Jej głos brzmiał teraz jak słaby pisk. – Mówisz poważnie? Naprawdę chcesz wziąć ślub w piątek o pierwszej po południu?

– Tak. Jeśli mnie chcesz.

Wiedział, że przypiera ją do muru, ale nagle zdał sobie sprawę z tego, że musi usłyszeć z jej ust jakieś zobowiązanie, musi wiedzieć, że będzie należała do niego.

Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech i dopiero po chwili odpowiedziała:

– Chyba rzeczywiście nie ma powodu z tym zwlekać – usłyszał nieśmiałe stwierdzenie.

– Super.

Cieszyło go, że wszystko idzie tak dobrze.

Rozmawiali ponad godzinę. Głównie była to rozmowa zapoznawcza. Opowiedział jej o Cheyenne. Zdażył już też wspomnieć córeczce o Juliette. Podniosła go na duchu jej reakcja. Dziewczynka zdecydowanie pozytywnie przyjęła perspektywę pojawienia się w domu nowej mamy.

W poniedziałek powiedział bratu, że w piątek się żeni. Kiedy Deck dochodził jeszcze do siebie po szoku, jakiego doznał, udało mu się wydusić z niego obietnicę, że Silver, jego bratowa, weźmie do siebie Cheyenne na ten dzień. Zadzwoił po raz kolejny do swojej narzeczonej w poniedziałek wieczorem, a potem we wtorek.

Opowiedział jej o swojej rodzinie, o bracie, który się niedawno ożenił, o szwagierce, o najbliższych sąsiadach, też świeżo po ślubie.

– Zabawnie było – powiedział. – To ja się chciałem ożenić’, a wydawało się, że „tak” powiedzą wszyscy w okolicy z wyjątkiem mnie.

– Oni naprawdę pomyślą, że zupełnie zwariowaliśmy – zauważyła.

– A co mnie to obchodzi. Jeśli tylko mam przed sobą perspektywę dzielenia z tobą łóżka co noc od zmierzchu do świtu.

Chciał się z nią trochę podrażnić, ale własne słowa wypaliły w niego rykoszetem i wywołały falę pożądania. Wystarczał sam jej głos, by krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, a teraz jeszcze i to.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza. Do licha. Czyżby ją obraży? Wiedział, że ma niewyparzony jeźor.

– Przepraszam – powiedział. – Mogłabyś udawać, że nigdy tego nie

powiedziałem?

Wreszcie się roześmiała. Koniuszki jego nerwów drażnił ten słodki, melodyjny dźwięk. Miał wrażenie, że zna ją od zawsze.

– Nie ma mowy. Zamierzam to od ciebie wyegzekwować. Od zmierzchu do świtu, kolego.

Teraz to on się zaśmiał. Ulżyło mu, że jej nie rozzłościł.

– Nie drocz się ze mną. Poczekaj tylko, aż cię wezmę w swoje ręce.

– Nie mogę się doczekać.

Jęknął.

– Chyba będzie lepiej, jak zmienimy temat – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała płochliwa nuta.

– Dobry pomysł.

Szukał w głowie jakiegoś tematu do rozmowy, ale nic mu się nie nasuwało. Zapadło milczenie.

– Opowiedz mi o swoim ranczu – poprosiła.

– Ranczo. Dobrze. – Siłą woli skupił się na rozmowie. – Już ci mówiłem, że jest wspólne: moje i mojego brata. Pracujemy razem. To spora posiadłość, jakieś trzydzieści tysięcy akrów.

– Czy mieszkasz razem z bratem?

– Już nie. Deck i jego żona, Silver, mieszkają w domku, który ojciec wybudował dla naszej matki zaraz po ślubie. Deck buduje teraz nowy dom.

– Niewiele wiem o ranczach i krowach – przyznała.

– Nic nie szkodzi. Za to ja niewiele wiem o kobiecej bieliźnie.

Parsknęła śmiechem, po czym zapadła chwila ciszy.

– Całe życie mieszkasz na ranczu?

– Tak. Nie dałbym sobie rady na studiach. Nie jestem w stanie siedzieć w zamknięciu.

Znowu milczenie.

– A ja lubię się uczyć – powiedziała wreszcie. – Chciałabym kiedyś iść na studia.

– A co chciałabyś studiować?

– Literaturę – odparła, po czym się roześmiała. – Wcale nie żartowałam, kiedy mówiłam, że lubię czytać.

– Pewnie należałaś do tych dzieciaków, które podczas przerwy siedzą przed szkołą i czytają książkę.

– Trafiony, zatopiony. Przyjaciele się na mnie wściekali, bo kiedy

czytałam, mogli trzy razy coś do mnie mówić, a ja i tak ich nie słyszałam.

– , – . Przypomnij mi, żebym z tobą nie rozmawiał, kiedy będziesz trzymała książkę w ręce.

Zachichotała. A on znowu poczuł przyspieszony puls.

– Co dzisiaj robiłeś? – zapytała. – Próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda twoje życie.

– To był zupełnie normalny dzień, jak na tę porę roku – odpowiedział. – Większość dnia spędziłem na pastwisku sąsiadów. Szukałem trzech byków, które się nie pojawiły na ostatnie karmienie. Znaleźliśmy je w końcu. Dwójka z ochotą wróciła do domu, ale trzeci nie bardzo chciał współpracować.

– Więc co zrobiliście?

Jego życie było dla niej tak nowe, jak gdyby przyleciał z obcej planety. Zawsze mieszkała w mieście albo pod miastem. Rapid City, nie wspominając o Los Angeles czy San Diego. A prawdziwe ranczo... to bez wątpienia będzie coś zupełnie nowego!

– Przechytrzyliśmy go – odpowiedział ze śmiechem na jej pytanie. – Nie zamierzał zrobić tego, co chcieliśmy, więc drażniliśmy go tak długo, aż się zmęczył i poddał. Wtedy uznał, że powrót do domu to może być całkiem dobry pomysł.

Z piętra dobiegł go jakiś dźwięk. Zesztywniał. Zdaje się, że Cheyenne śnił się koszmar.

– Przepraszam cię, ale muszę kończyć. Zadzwoń jutro, dobrze?

– Dobrze.

Jej głos brzmiał tak słodko i miękko. Chciałby z nią rozmawiać jeszcze długo.

– Do zobaczenia w piątek.

– Dobrze. Dobranoc, Marty.

Wciąż brzmiał mu w uszach jej głos, drażnił zmysły, sprawiał, że krew krążyła szybciej w żyłach. Wbiegł po schodach i wszedł do pokoju Cheyenne. Boże, nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć Juliette!

Dzwonił do niej każdego wieczoru przez resztę tygodnia.

To głupie, powtarzała sobie, uzależniać się od takiego drobiazgu, jak telefon o konkretnej godzinie. A jednak łapała się na tym, że co kilka minut sprawdza zegarek, a oczekiwanie rośnie, gdy wyciąga rękę po słuchawkę.

Rozmawiali i rozmawiali, aż przypominała sobie o rachunku.

– Ale wkrótce będziemy mogli to robić, ile dusza zapragnie – zauważył Marty.

Opowiedział jej o swojej córce. Uświadomiła sobie, że to będzie duże wyzwanie. Miała cztery lata i była zdecydowanie samodzielna i uparta. To nawet dobrze, bo Juliette lubiła wyzwania. Cieszyła ją perspektywa posiadania córki. A Cheyenne bez wątpienia potrzebowała matki.

Rozmawiali też o innych rzeczach. O dzieciństwie, rodzinie. Marty dowiedział się, że Juliette jest jedynaczką, córką wojskowego, który nigdzie nie zagrzał miejsca. On, w odróżnieniu od niej, był mocno zakorzeniony. Wyznał Juliette, że jego ojciec nie żyje, a matka mieszka na Florydzie z drugim mężem. Opowiedział jej też o bracie i jego siostrze bliźniaczce oraz o różnych tarapatach, w jakie się w kółko pakowali jako dzieci. Poznała też historię wypadku, w którym jego siostra straciła życie, oraz nieporozumień i złych uczuć, które z mego wyniknęły i dopiero niedawno zostały wyjaśnione.

Jednak wciąż nie powiedziała mu o Bobbym.

Nie potrafiłaby stwierdzić, dlaczego z tym zwleka. W końcu miał córkę, więc na pewno lubił dzieci.

Ale to jego dziecko, szepnął jej głos wewnętrzny.

Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Marty był dobrym człowiekiem, łagodnym. Cudownym mężczyzną. Powinien się dowiedzieć, że będzie ojczymem. Lecz...

W środę wieczorem przypadał sylwester. Nie miała żadnych planów, Marty również. Zadzwonił o dziesiątej. O północy, gdy nadszedł Nowy Rok, wciąż siedzieli przy telefonach.

– Za rok będziemy świętować pierwszą rocznicę ślubu – powiedział.

Miała nadzieję, że tak będzie. Ale naprawdę musiała mu powiedzieć o Bobbym. Inky, jej czarny szpic, leżał obok niej na łóżku podczas rozmowy z Martym. O psie też musiała go poinformować. Może powinna od tego zacząć, a dopiero potem powiedzieć o dziecku.

– Słuchaj, Marty... – Przebiła się przez strumień informacji dotyczących pogody na prerii. – Muszę ci o czymś powiedzieć.

– A o czym? – zapytał pobłaźliwie.

– Mam psa.

Wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję. Puls jej przyspieszył, a serce waliło jak młotem. Zachowywała się nieproporcjonalnie do wagi wyznania.

– Naprawdę? – Chyba trochę go zaskoczyła. – Nie wiedziałem, że w mieszkaniach można trzymać psy.

– Tu nie mają nic przeciwko małym zwierzętom.

Odrobinę się uspokoiła.

– To chyba nie będzie problem. Tu, na ranchu, będzie miał liczne towarzystwo. De ma lat? Może nauczymy go pracy ze stadem.

W jego głosie brzmiało teraz więcej ciepła.

Roześmiała się niepewnie.

– Raczej nie. On jest na to trochę za mały. Teraz w jego tonie usłyszała ostrożność.

– A dokładnie, jak mały? Wzięła głęboki wdech.

– Waży cztery kilo. To szpic. Cztery kilo to całkiem sporo jak na szpica.

– Cztery kilo? – zapytał z niedowierzaniem. – Rany, inne psy potraktują go jak posiłek. Będzie denerwował konie, któryś może na niego stąpnąć. Nie – powiedział stanowczo.

– Jest za mały. Będziesz musiała znaleźć dla niego jakiś dom w mieście.

– Ale... ale przecież nie mogę go tak po prostu oddać!

Wbrew usiłowaniom głos zaczął jej drżeć. Oddać Inky'ego? Był jej najlepszym przyjacielem. Dotrzymywał jej towarzystwa podczas ciąży i w czasie żałoby po Robie. Marty nic nie rozumiał. Był taki... taki niewyrozumiały.

– To prezent ślubny od mojego męża.

Po drugiej stronie zapadła martwa cisza.

Zebrała siły i zaczęła wyliczać zalety Inky'ego.

– Poza tym on jest psem domowym. Rzadko szczeka, umie przynieść gazetę. Jest dość duży, by biegać po schodach i wskakiwać samemu na meble...

– Pozwalasz mu wskakiwać na meble? – Nie mogła sobie wyobrazić, że byłby bardziej zszokowany. – Nigdy nie wpuszczamy psów do domu. Gdy jest zimno, śpią w stodole.

– jego głos brzmiał twardo i niewzruszenie. – Nie możesz trzymać psa w domu.

Nagle przestał być tym ciepłym mężczyzną, z którym spędziła sobotni

wieczór. W jej oczach wezbrały łzy. Przełknęła je, ale w sercu czuła ból. Nawet jej nie wysłuchał!

Jeśli tak zachował się w sprawie Inky'ego, to co zrobi, gdy się dowie o Bobbym? Wizja była zniechęcająca. Może cały ten pomysł z małżeństwem był jednak absurdalny. Chciała za niego wyjść, bardzo tego chciała, ale może...

– Juliette?

Zapytał tak cicho, że ledwie ją wyrwał z zamyślenia. W końcu dotarło do niej, że wypowiedział na głos jej imię.

– Tak?

Łzy się przelały i popłynęły po jej policzkach. Położyła dłoń na małej głowie Inky'ego, delikatnie drapała go za uszami, a piesek westchnął uszczęśliwiony i przytulił się do niej mocniej.

– Płaczesz?

– Nie.

Stłumiła łzy i próbowała normalnie oddychać.

– Tak, płaczesz. – W jego głosie zabrzmiała szczerza troska. – Słuchaj, przepraszam. Głupio się zachowałem. Dasz mi jeszcze jedną szansę?

Był ujmująco pokorny. Wyobrazila sobie wyraz jego niebieskich oczu, pełnych powagi i skruchy.

– Oczywiście. Ja też przepraszam.

– Myślę, że jeden mały pies to nie taka wielka sprawa – powiedział, a ona niemal słyszała, jak sam sobie próbuje to wmówić. – Nigdy nie miałem psa w domu, ale to przecież wcale nie oznacza, że to zła rzecz. Znam mnóstwo ludzi, którzy trzymają zwierzęta w domach.

Zachichotała wbrew sobie.

– Och, Marty, może jednak powinniśmy się lepiej poznać, zanim się pobierzemy. To znaczy, jeśli...

Nie pozwolił jej skończyć.

– Hej, skarbie, jedna mała sprzeczka nie oznacza jeszcze, że powinniśmy się poddać. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, dobrze?

– Tak, ale...

– Ale nadal bierzemy ślub w piątek – naciskał.

Nie potwierdziła od razu. Jego głos zrobił się niższy, cieplejszy i bardziej intymny.

– Aniołku, będzie nam razem dobrze. Na mnóstwo sposobów. Nie mogę

się doczekać piątku, żeby móc do ciebie przyjechać i wziąć cię w ramiona.

– Ja też się nie mogę doczekać.

Rzeczywiście nie mogła. Pragnęła być w ramionach Marty'ego, czuć jego pocałunki, które sprawiały, że zapominała o Bożym świecie.

Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, przypomniała sobie, że nie powiedziała mu o najważniejszym – o Bobbym. Lecz... tak mocno zareagował na psa. Co będzie, jeśli postanowi, że nie chce się z nią żenić?

Poczuła ucisk w żołądku. Miała wątpliwości, czy taki szybki ślub to rozsądna rzecz, ale jednego była pewna. Kochała Marty'ego Strykera. Wbrew zdrowemu rozsądkowi oddała swoje serce mężczyźnie, którego ledwie знаła. Gdyby zniknął z jej życia, nie byłaby w stanie o nim zapomnieć. Mówiąc mu o Bobbym, ryzykowała, że go straci.

Z drugiej strony, przypomniała sobie, zmuszając się do uśmiechu, Marty mógł być równie dobrze zachwycony tym, że będzie miał synka. Dlaczego nie miałby się ucieszyć? Zapadła w końcu w meczący sen, nie zdecydowawszy, co powiedzieć Marty'emu. I kiedy mu powiedzieć.

Mimo nocnych maratonów telefonicznych tydzień zdawał się nie mieć końca. Godziny pracy Juliette ciągnęły się jak guma do żucia, mimo że rozkład zajęć nie zmienił się ani na jotę. W domu zajmowała się pakowaniem swoich rzeczy do pudeł, które miała zabrać na ranczo. Musiała oddzielić swój niewielki dobytek od tego, co należało do wyposażenia mieszkania. Zawiadomiła szefa i przeprosiła go za krótki termin rezygnacji. Miała wrażenie, że piątek nigdy nie nadejdzie, ale oto był piątkowy poranek. Przepracowała ostatnie kilka godzin i wróciła do domu. Marty miał się zjawić za jakąś godzinę.

Od początku pobytu w Rapid City, gdy ona szła do pracy, Bobbym opiekowała się sąsiadka. To był idealny układ zarówno dla pracującej matki, jak i dla emerytki, która kochała dzieci. Juliette pomyślała, że będzie jej brakować starszej pani, która dziś po raz ostatni zajmowała się jej synkiem. Krótko poinformowała ją o przeprowadzce i rezygnacji z pracy. Nie wiedziała, jak jej wytłumaczyć okoliczności zbliżającego się ślubu. Starsza pani mogłaby złapać za telefon i zadzwonić do domu wariatów.

Na dworze było bardzo zimno, wbrew zapewnieniom prognozy. Czekala na Marty'ego w małym holu swojego budynku. Pod długim,

ciężkim płaszczem kryła prostą, śnieżnobiałą sukienkę.

Przyjechał punktualnie o wpół do pierwszej, tak jak obiecał, gdy tłumaczyła mu, jak do niej dojechać. Widziała przez okno, jak idzie chodnikiem w stronę wejścia.

Czy w ostatnią sobotę też był taki wielki? Na Boga, wyglądał imponująco. Miał na sobie brązowy kapelusz i skórzaną kurtkę z frędzlami. Wydawało się jej, że ma jakiś kilometr szerokości w ramionach.

W żołądku buszowało jej wielkie stado motyli. Wzięła głęboki wdech i otworzyła przed nim drzwi.

– Witaj.

Nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Odpowiedział tym samym, a jej serce podskoczyło wysoko. Ależ był przystojny!

Zatrzymał się przed nią.

– Cześć.

Jego oczy miały kolor letniego nieba. Kiedy na nią spojrzał, motyle rozszalały się jeszcze bardziej. Zbliżył się i wziął ją za rękę.

– Zapomniałem, jaka jesteś piękna – powiedział cicho.

Zalała się rumieńcem. Och, wiedziała, że ma ładną twarz, ale słowo „piękność” stosowało się w jej mniemaniu do kształtnych kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicach. A ona nie miała obfitych kształtów. Można ją było ewentualnie porównywać z dwunastolatkami. Zresztą widywała w sklepie dwunastolatki, które miały większe niż ona biusty.

– Dziękuję – odpowiedziała.

Podszedł bliżej. Serce podskoczyło jej do gardła na widok wyrazu, jaki odmalował się w tych błękitnych oczach. Prawie przestała oddychać, gdy objął ją w pasie.

– To był cholernie długi tydzień – powiedział. – Pocałuj mnie na szczęście.

Zamknęła oczy, gdy musnął jej wargi. Pocałował ją. Pocałował ją tak, że poczuła łzy napływające do oczu.

Kochała go.

Przyciągnął ją do siebie, a ona zarzuciła mu rękę na szyję i wsunęła palce w złociste kosmyki na karku. Jęknął cicho, oderwał się od niej i uśmiechnął ze smutkiem.

– Zróbmy to. Potem pomyślimy o innych sprawach.

Miał na myśli seks, wiedziała o tym. Żołądek się jej ścisnął na myśl o

tym. Poszła za nim do jego samochodu.

Kiedy jechali ulicą St. Joseph Street do urzędu stanu cywilnego, myślała o Robie, swoim pierwszym mężu. Byli razem szczęśliwi. Do czasu, gdy jako trzecia osoba w ich małżeństwie, pojawiła się jego matka. Jednak Juliette nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuła takie niesamowite podniecenie, gdy była z nim. Jak to możliwe, że była przez dwa lata szczęśliwą mężatką, nie znając takiego uczucia, jakie wzbudzał w niej Marty?

Posadził ją obok siebie na środkowym siedzeniu i całą drogę przytulał do siebie. Był szarmancki i opiekuńczy. Czuła się przy nim bezpieczna. Wreszcie, po tygodniu zmagania się z dziką potrzebą spotkania się z nim, a zaraz potem z pewnością, że to pomylenie, poczuła, że to małżeństwo jest jej najrozsądniejszym posunięciem od bardzo dawna.

Zaparkował samochód, spojrzał na nią i uśmiechnął się szelmowsko.

– Gotowa wziąć ślub?

Nagle opanowało ją poczucie winy. Nie powiedziała mu o Bobbym. Częściowo dlatego, że nie wiedziała, jak zacząć. Trochę się obawiała reakcji Marty'ego. Ale to przecież głupie. Na pewno polubi jej syna.

Odchrząknęła.

– Tak, ale powinniśmy trochę więcej się o sobie dowiedzieć. Ja...

– To może poczekać, aniołku. – Marty otworzył drzwi, wyskoczył na zewnątrz, obszedł auto dookoła i otworzył jej drzwi. Wziął ją za rękę i powiedział: – Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy. Całe życie.

Miał rację. W dodatku prawdopodobnie zamartwiała się bez powodu.

Ślub cywilny był niczym w porównaniu z kościelnym, jaki brał z Lorą. Mimo to, gdy wypowiedział słowa, które miały go prawnie związać z tą drobną blondynką na resztę życia, spociał się jak mysz.

Sam wybrał taką drogę, wybrał tę kobietę. Żenił się powtórnie z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie było powodu czuć się winnym. Ale tak się właśnie czuł. Cały tydzień myślał o urokach Juliette, miał erotyczne sny na jawie i w nocy. A jednak jakaś część jego osoby pogardzała nim za to, co zrobił. Raz, przed Bogiem, związał się przysięgą małżeńską, obiecał Lorze, że będzie ją kochał aż do śmierci. I tak by było, Jęcz ona umarła.

A teraz wstydził się, że tak szybko o niej zapomniał.

Był spokojny podczas ceremonii i powrotu do mieszkania Juliette po jej

rzeczy. Lora, obiecuję ci, że nigdy cię nie zapomnę, powtarzał sobie w duchu. Juliette u jego boku również była milcząca. Prawdopodobnie z tego samego powodu co on. Obracała wciąż platynową obrączkę z pięcioma brylantami. Wyobrażał sobie, jakie to musi być dla niej dziwne uczucie – znowu nosić obrączkę. On nigdy jej nie nosił, bo bał się utraty palca podczas wiązania bydła. To się często zdarzało kowbojom.

Kiedy dotarli do jej mieszkania, próbował oderwać się od wspomnień.

– Jak dużo masz do zabrania?

Pokręciła głową, unikając jego spojrzenia.

– Niewiele. Wynajęłam umeblowane mieszkanie. Wszystko stoi spakowane w korytarzu przed moimi drzwiami.

Poszedł więc za nią. Razem znieśli pudła i walizki. Uświadomił sobie, że nigdy nie widział jej mieszkania. Nagle poczuł falę paniki.

A jeśli szalała na punkcie niebieskiego? On nie cierpiał niebieskiego. Znosił ten kolor w przypadku dżinsów czy koszuli, ale zęby go bolały na widok niebieskiej tapety. W tej kwestii nigdy się nie mógł dogadać z Lorą. Gdyby nie protestował, każdy pokój w ich domu urządziłaby na niebiesko.

Stał z pustymi rękami koło samochodu, zajęty zupełnie niepotrzebnie takimi idiotycznymi myślami, gdy usłyszał zza pleców głos Juliette:

– Marty? To jest mój pies.

Odwrócił się. Spodziewał się, że zobaczy ją ze smyczą w ręce. Jednak obie dłonie zaciskała na rączce stosunkowo małej metalowej klatki.

– To jest Inkspot. W skrócie Inky. Ma prawie trzy lata. – Mówiła coraz wolniej, a on nie spuszczał oka z klatki, którą dźwigała. – Jest dobrze ułożony – dodała, głaszcząc małą główkę przez szpary między sztachetkami.

Super. Prezent od pierwszego męża. Przygotował się na to, że będzie musiał znieść to jej stworzenie, ale widok zwierzaka zamkniętego w klatce sprawił, że wszystko wydawało się bardziej rzeczywiste. Wziął od niej skrzynkę i z łatwością umieścił pomiędzy pudłami. Juliette odwróciła się i poszła z powrotem do domu.

To nie pies. Patrzył na czarną szopę sierści w klatce. Szopa skierowała na niego swoje oczy jak guziczki. Był raczej wielkości szczura niż psa.

– Inkspot – mruknął. – Masz bardzo głupie imię, kundlu.

Prawie skończył pakowanie, gdy wróciła. Odwrócił się do niej. Chciał jej powiedzieć, żeby już nic nie dźwigała, ale kiedy zobaczył, co trzyma w ramionach, zrobiło mu się miękko w nogach.

■ – Co to, do diabła, jest?

Juliette zeszytywniała. Zdumienie i niezadowolenie w jego głosie było tak wyraźne, że miała ochotę obrócić się na pięcie i uciekać. Uniosła jednak róg kocyka.

– To jest mój syn – powiedziała.

– Twój syn!

Głos Marty'ego był zdławiony, mina pełna niedowierzania, niebieskie oczy rozszerzone i... oszalałe. Postanowiła dać mu kilka minut. Wiedziała, że to będzie szok. Jednak robił wrażenie łagodnego, rozsądnego człowieka, więc miała nadzieję, że jakoś się z tym oswoi.

– Tak. – Zaczęła z siebie wyrzucać słowa, które tyle razy w ciągu tego tygodnia powtarzała sobie w myślach. – Ma prawie trzy miesiące. Jest bardzo grzeczny. Nie będzie sprawiał kłopotów. Zostanie mi mnóstwo czasu na zajmowanie się domem i Cheyenne...

– Nie uważałaś za stosowne poinformować mnie o tym i zapytać, czy mnie to interesuje?

Słowa padały jak strzały z bicia. Twarz wykrzywiła mu się z gniewu. Z wysiłkiem przełknęła gulę, która urosła jej w gardle. Bała się. Był dużo bardziej zły, niż się spodziewała. W końcu miał już jedno dziecko.

– Ja... masz córeczkę – powiedziała bez przekonania. – Myślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko drugiemu dziecku.

Zacisnął pięści. Wyglądał tak, jakby miał ochotę w coś uderzyć.

– To się pomyliłaś – warknął.

I nagle jakby wyciekł z niego cały gniew. Nim się odwrócił, dostrzegła w jego oczach ogromne cierpienie. Oparł obie ręce na dachu samochodu.

– To nie... tylko. A niech to diabli... – powiedział cicho.

Odsunęła się pośpiesznie. O czym on myśli? Co wywołało ten nieopisany smutek, jaki odmalował się na jego twarzy?

– Przepraszam – powiedziała cicho. Nagle powróciły myśli, które prześladowały ją w drodze z urzędu stanu cywilnego. – Powinnam powiedzieć ci o Bobbym przed ślubem. Jeśli chcesz wszystko unieważnić – wydusiła z siebie siłą – nie będę protestować.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Przez długą chwilę myślała, że zgodzi się na unieważnienie małżeństwa. Ale wtedy przerwał milczenie:

– Umówiliśmy się. Nie zamierzam złamać umowy.

Drżącymi rękami przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała za nim z

parkingu. Ulga, że nie zrezygnował z małżeństwa, mieszała się z troską. O czym on teraz myśli? Dlaczego tak się wściekł?

Patrząc wstecz, musiała przyznać, że zachowała się wyjątkowo głupio, nie wspominając mu o Bobbym. Przecież Marty miał stać się dla niego ojcem. Zaczęła ją boleć głowa.

Zrobili sobie krótką przerwę w podróży przy autostradzie. Wyprowadziła psa, zmieniła Bobby'emu pieluszkę, a Marty cały czas stał przy samochodzie, tyłem do niej. Nawet nie spojrzął na jej synka. Sama czuła rosnący gniew. Skąd może wiedzieć, czy polubi Bobby'ego, czy nie, jeśli nawet na niego nie spojrzy?

Dobrze, że droga była prosta, bo mógł włączyć autopilota. Kilkakrotnie podczas niekończącej się jazdy do domu Marty zaciskał pięści na kierownicy. Siłą woli musiał je rozluźnić.

Owładnęły nim wspomnienia.

Nie rozmawiał z Juliette o dzieciach, bo nie był w stanie podjąć tego tematu. A ponieważ ona też nic nie mówiła, uznał, że nie zależy jej specjalnie na posiadaniu większej liczby dzieci. Dzieci... Do licha, nie potrafił znieść obecności niemowląt, nie wspominając o posiadaniu jednego na stałe w domu.

Wbrew swojej woli poszybował myślami na oddział pediatryczny szpitala w Rapid... jego żona, jego piękna, energiczna żona umarła, a nowo narodzony synek leżał w inkubatorze, walcząc o życie. Ledwie słyszał ściszone głosy pielęgniarek i szum maszynierii podtrzymującej życie. Czuł przygniatający smutek. Loro, powinnaś tu być.

Ale jej nie było. Jego życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Jak mógłby żyć bez niej? Nie potrafiłby samotnie wychować dwójki dzieci. To nie tak miało być.

Jego syn, drobniutki wcześniak, był po prostu za mały, jak powiedział mu lekarz. Więc na rodzinnym grobowcu przybyła jeszcze jedna tablica, obok tablicy Lory.

Wziął głęboki, rwany oddech. Nie chciał pozwolić sobie na łzy, które zebrały się pod powiekami.

Co on ma teraz zrobić? Nie potrafił nawet spojrzeć na chłopczyka Juliette, Wedy zrobili sobie przerwę w podróży. Myśl o dziecięcym gaworzeniu była nie do zniesienia.

A potem przyszło mu do głowy coś innego. Jak to zniesie Cheyenne?

Starął się przygotować ją na przybycie nowej mamy. Ale nie wspomniał o braciszku. Cheyenne lubiła być w centrum zainteresowania. Nie będzie chciała zrezygnować z tej pozycji.

Przypomniał sobie panikę w oczach Juliette, gdy zaproponowała mu anulowanie małżeństwa. To prawdopodobnie byłoby najlepsze rozwiązanie. Ale nie potrafił się na nie zdobyć. W ciągu tego krótkiego tygodnia w jego życiu pojawiła się głęboka potrzeba jej obecności. Nawet gdyby dziś odeszła i miał jej nigdy więcej nie zobaczyć, zawsze by ją pamiętał i tęsknił za nią.

Poza tym, pomyślał, nie tylko Cheyenne była gotowa na wielką zmianę. Powiedział o swoim ożenku całej Kadoce. Posprzątał nawet trochę, żeby Juliette nie myślała, że mieszka w chlewie. Nie da rady, unieważnienie małżeństwa nie wchodzi w grę.

Pies to co innego. Jest trochę irytujący, ale można się będzie do niego przyzwyczać. Ale dziecko, na Boga!?! Najwyraźniej decyzja Juliette o wyjściu za niego miała inne podstawy, niż podejrzewał. Nie chodziło tylko o to, że ją zauroczył. Szukała ojca dla swojego syna.

Jej syn. Miał ochotę krzyknąć głośno z bólu. Jak on zniesie dziecko innego mężczyzny, wychowujące się w jego domu?

Syn. Pasierb, ale zawsze.

Nie jego syn. Uderzył w bezsilnej złości w kierownicę. On nigdy nie będzie jego synem.

Rozdział 3

Godzinę później, gdy jechał wyboistą drogą wiodącą do posiadłości, wciąż zmagał się ze smutkiem i gniewem. Jechał, jak zwykle, dość szybko. Juliette została z tyłu. Nim zatrzymała się przed domem, zdążył już wypakować większość jej pudeł i zanieść do salonu.

Przyglądał się, jak wysiada z samochodu i rozgląda się dookoła. Tutaj, w cichej przestrzeni jego rancza, robiła wrażenie jeszcze mniejszej i bardziej kruchej niż zwykle. Obeszła auto dookoła, szukając suchych miejsc, gdzie mogłaby postawić nogę. Wyciągnęła klatkę z psem. Nachyliła się i otworzyła małe drzwiczki.

Piesek wypadł ze środka, przeciągnął się, prychnął lekko. Wyglądał jak nakręcana zabawka. Marty pokręcił głową ze wstrętem. Włochaty szczur.

Właśnie wtedy zza rogu stodoły wyskoczyły dwa psy z rancza, owczarki. Starszy z nich, Streak, zachowywał się spokojniej, ale młodszy od razu zaczął szczekać.

Juliette sięgała po coś do samochodu, gdy rozległo się ujadanie. Szybko wzięła nakręcaną zabawkę na rękę. Zrobiła krok do tyłu, oparła się plecami o samochód. Widać było jak na dłoni, że jest przerażona.

Do licha. Chyba się nie boi psów? Sama ma przecież psa.

Psy chciały za wszelką cenę dostać Inky'ego, którego teraz Juliette trzymała za plecami. Duże zwierzęta biegły prosto na nią.

Pisnęła, gdy jeden z nich podskoczył i wylądował z łapami na jej ramionach. Na jej twarzy malowało się śmiertelne przerażenie. Marty ruszył się z miejsca, zszedł z werandy i odgonił oba psy.

Posłusznie się oddaliły, a Juliette opadła na siedzenie samochodu.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie jestem przyzwyczajona do dużych psów.

Już miał powiedzieć, że te nie są takimi znowu olbrzymami, ale nagle sobie uświadomił, że właściwie są.

– Postaw swojego pieska na ziemi. Nie zrobią mu krzywdy.

– Ale...

Marty oszczędził sobie nerwów, po prostu wyjmując nakręcaną zabawkę z jej objęć. Stworzenie zamierzało ogonem i zaczęło go lizać po brodzie.

– Przestań, kundlu – powiedział. – Albo oddam cię na pożarcie kojotom.

Postawił pieska na ziemi. Dwa większe natychmiast pojawiły się znowu. Lecz, dokładnie tak jak przewidział, po obwąchaniu dały mu spokój.

Zauważył, że Juliette nie spuszcza psów z oczu. Trudno było mieć do niej o to pretensje. Na jej długim, wełnianym płaszczu widać było dwie duże plamy z błota. Rozpięła pasy fotelika dla dzieci i wyjęła z auta nosidełko. Przez chwilę patrzyła z obawą na zwierzęta. Kątem oka dostrzegł, że jedna malutka stopka wysunęła się spod kocyka i kopała teraz ostro w powietrze.

– Chodź – powiedział krótko.

Nie był w stanie wydusić więcej przez boleśnie ściśnięte gardło. Nie podał jej ręki, lecz szedł o krok za nią. Inky również nie odstępował swojej pani. Brzuchem niemal szorował po błocie. Był cały brudny.

Kiedy weszli na werandę, Juliette rozejrzała się dookoła.

– Dużo tu... przestrzeni – powiedziała. Umiał czytać między wierszami.

– Czasem jest tu trochę odludnie. Otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

– Stop – powiedział do psa, który również chciał wejść. Spojrzała na niego wyraźnie zaniepokojona.

– Inky jest psem domowym, zapomniałeś?

– Nie taki ubłocony. – Przyniósł psią klatkę i wstawił ją do pomieszczenia gospodarczego zaraz obok wejścia. – Może tu zostać do czasu, aż znajdę chwilę, żeby go wyczyścić – powiedział, zamykając zwierzaka.

Na jej twarzy wciąż malowała się troska, ale przynajmniej się z nim nie próbowała kłócić. Stała na wycieracze. Zrzuciła zabłocone buty i płaszcz. W milczeniu rozejrzała się dookoła.

Wiedział, co widzi. Stała w części kuchni na planie litery „L”. Przechodziło się z niej do mniejszego pomieszczenia, gdzie stała pralka i suszarka, jak również lodówki i zlew. Na ścianach były haki, na których wisiały przeróżne niechlujne kapelusze i ubrania. Jedną ze ścian zajmowały drzwi prowadzące do łazienki z wanną i prysznicem. Używał jej wtedy, gdy przychodził do domu wyjątkowo brudny.

W kuchni na stole wciąż stały resztki porannego posiłku – płatki. Do diabła. Tak mu się śpieszyło, że o tym zapomniał. Kuchnia była ładnie ozdobiona, utrzymana w kolorach pszenicy i starego złota. To były zawsze jego ulubione barwy. Niestety, zasłony wypłowiały. Również dywanik i ręczniki miały najlepsze czasy dawno za sobą. Błaty szafek gęsto zapełniały

różne przedmioty, które dawno powinny zostać wyrzucone, a podłoga domagała się porządnego szorowania. Kiedyś znajdzie na to czas.

Odwrócił się gwałtownie i zadzwonił kluczykami do półciężarówki.

– Pojadę do Decka po Cheyenne. Kiedy wrócę, przeniosę wszystkie twoje rzeczy, gdzie będziesz chciała.

Kiwnęła głową.

– Czy mógłbyś mi pokazać, gdzie będę spała? Mogłabym od razu zacząć rozpakowywanie.

Gdzie będzie spała? Co jej chodziło po głowie? Cały tydzień czekał na tę noc, więc gdzie niby miałyby spać?

Wziął największą walizkę i bez słowa ruszył schodami na górę. Poszła za nim z dziecięcym fotelikiem w ramionach. Wiedział, że jest dla niej za ciężki, wiedział, że powinien zaoferować pomoc, ale na samą myśl o dotknięciu dziecka oblewał się zimnym potem. Więc sama zaniósła je na górę. Zaprowadził ją do dużego pokoju w końcu korytarza.

– To nasza sypialnia – powiedział szorstko.

To było dziwne uczucie. Stał w sypialni z inną kobietą niż jego żona. Niż jego pierwsza żona, poprawił się. Wskazał na szeroką, sosnową komodę, która stała przy ścianie.

– Opróżniłem kilka szuflad. Zrobiłem też trochę miejsca w szafie.

– Dziękuję.

Jej głos był przytłumiony.

Z fotelika dobiegło słabe piśnienie. Dziecko pod kocykiem przeciągnęło się właśnie. Marty nie miał zbyt wiele okazji obcowania z dziećmi w ciągu dwóch lat od śmierci Lory. I był za to wdzięczny losowi. Kiedy już dzieciak zaczynał raczkować, a potem chodzić, jakoś dawał sobie radę, ale nie był w stanie poradzić sobie ze wspomnieniami, jakie wzbudzało to niemowlę owinięte niebieskim kocykiem.

Moduł się nawet, żeby dziecko jego brata, które miało się urodzić w lutym, było dziewczynką. Miał nadzieję, że jeśli to będzie dziewczynka, będzie w stanie na nią spojrzeć. W przeciwnym razie bratanek będzie musiał długo poczekać na pierwsze spotkanie z wujkiem Martym.

Wróciło do niego wspomnienie tych długich, straszliwych dni po śmierci Lory. Jej siostra i matka na zmianę opiekowały się Cheyenne. Deck powiedział mu, żeby sobie dał spokój z ranczem. Tak właśnie zrobił. Każdą minutę każdego dnia spędzał w szpitalu, siedząc koło inkubatora, w którym

leżał jego synek. Nie dopuszczał do siebie słów lekarzy, którzy powtarzali: „dysfunkcja oddechowa”. Całą swoją energię koncentrował na tym małym człowieczku za przejrzystymi ściankami inkubatora.

No, stary, nie poddawaj się, powtarzał mu w duchu.

Jednak trzeciego dnia wyczytał prawdę z twarzy pielęgniarki. Robiła rutynowy obchód. Nagle po jej policzkach popłynęły łzy i spadły na papiery, które trzymała w dłoni.

Sparaliżował go ten widok. A potem wpadł w przygnębienie. Prawda rozbiła nadzieję, którą tak pieczołowicie pielęgnował.

Tej nocy jego synek zmarł.

Kiedy wszyscy spali, jemu towarzystwa dotrzymywały jedynie cicho szumiące maszyny. Malutkie serce chłopczyka przestało bić. Pielęgniarka odłączyła wszystkie przyrządy. Marty siedział nadal na tym samym fotelu, na którym wcześniej czuwał przy dziecku.

Dziecko Juliette znowu pisnęło cichutko. Poczul pot występujący na czole.

Boże, za wszelką cenę musiał się stąd wydostać.

Juliette obejrzała duży, zwyczajny pokój, jaki miała od tej chwili dzielić z Martym. Zastanawiała się, gdzie będzie spał Bobby. Bała się jednak zapytać. Postanowiła, że poczeka z tym trochę. A gdy on wyjdzie, sama się rozejrzy dookoła.

– Moja bratowa zorganizowała dziś dla nas wieczorek zapoznawczy – powiedział Marty.

– Wieczorek zapoznawczy? – powtórzyła ostrożnie.

– No, wiesz. Przyjęcie.

– Ślubne? – Ogarnęło ją przerażenie. W takich okolicznościach przyjęcie ślubne byłoby kilkugodzinną torturą.

– Potaćcówkę – poprawił ją. – Nic wielkiego. – Jego głos brzmiał szorstko. – Tylko mały wieczorek zapoznawczy w miasteczku. Zaraz przyjedzie opiekunka do dziecka.

– Zapomniałaś, że ja kiepsko tańczę? Co będę musiała robić?

Spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

– Nie musisz tańczyć. Masz się po prostu... – wykonał klasyczny, męski gest zniecierpliwienia – ... pokazać. Tak się mówi?

A więc to było coś w rodzaju przyjęcia weselnego. Juliette przełknęła

ślinę.

– Ale... Bobby ma dopiero jedenaście tygodni. Zostawiałam go tylko z panią, która się nim opiekowała, gdy szłam do pracy. – Przerwała. Marty wyglądał jak burza gradowa. Miała wrażenie, że zaraz trzaśnie w nią piorunem. – Niech... niech będzie. – Zachowała się nieuczciwie. Nie chciała teraz jeszcze bardziej komplikować sytuacji. – Czy ona ma jakieś doświadczenie z niemowlętami?

/

– Ma sześcioro młodszego rodzeństwa.

Marty odrobinę się rozluźnił, lecz wciąż wyczuwała napięcie i gniew, które od popołudnia siedziały w nim jak w zakorkowanej butelce. Poza tym było coś jeszcze, czego nie potrafiła rozszyfrować.

– Ona całe życie nic innego nie robi, tylko opiekuje się dziećmi.

Bobby zaczął się przeciągać i wiercić. Odruchowo wzięła go na ręce i zaczęła głaskać po plecach.

– Dobrze. O której musimy wyjść?

– Chyba około ósmej.

I nie mówiąc nic więcej, zniknął w korytarzu.

Chciała go zawołać. Miała z tuzin pytań, ale zwalczyła ten impuls. Najwyraźniej Marty nie chciał być blisko niej. Ani jej syna.

Łzy stanęły jej w oczach. Zwiesiła głowę. Słyszała zapalony silnik jego samochodu. Odjechał. Na białą, wełnianą tkaninę sukienki spadła łza. Kilka godzin temu była prawie w siódmym niebie, marzyła o nowym początku, o przyszłości. A teraz... teraz nie miała nawet pewności, czy powinna się rozpakowywać.

Marty odrzucił jej propozycję unieważnienia małżeństwa. Ale czy tak da się żyć? Z człowiekiem, który nagle zaczął nią pogardzać? Prawda, popełniła wielki błąd, pomyliła się w ocenie, gotowa była to naprawić. Lecz on robił wrażenie, że nie chce jej przeprosin.

A jednak zaprowadził ją do ich wspólnej sypialni. Zdaje się, że przynajmniej na jedno nie stracił ochoty.

Co to będzie za małżeństwo, skoro zaczęło się od takich kłopotów?

Westchnęła. To twoja wina, upomniała się w duchu.

Postanowiła odłożyć na chwilę rozpakowywanie, a zamiast tego rozejrzeć się po domu. Bobby gaworzył cicho. Spojrzała na niego z czułością.

– I jak, mój mały? – powiedziała. – Obejrzymy sobie dom?

Wydawał się szczęśliwy, jak zwykle, gdy nie był głodny i miał sucho. Uznała, że może jeszcze na chwilę odłożyć karmienie. Zresztą butelki i mleko i tak były w jednym z kartonów na dole.

Najpierw obejrzała piętro. Do ich sypialni przylegała łazienka. Druga, w korytarzu, najwyraźniej służyła mieszkańcom pozostałych trzech pokoi. Było w niej pełno dziecięcych zabawek ozdobionych postaciami z kreskówek.

Jedna z sypialni była pokojem gościnnym z ogromnym łóżkiem. Leżała najbliżej ich pokoju, dlatego uznała, że tutaj czasowo rozlokuje Bobby'ego, aż zdecydują, gdzie będzie mieszkał, i przygotują mu pokój.

Następne pomieszczenie należało do Cheyenne. Wszędzie pełno było różowych i liliowych kucyków – na tapecie, białych mebelkach, kapie na łóżko. Zabawki, książki i ubrania porzucane były po całym pokoju. Niemal nie widać było spod nich różowego dywanu. Juliette pokręciła głową nieco oszołomiona tym bałaganem. Cheyenne będzie się musiała nauczyć utrzymywać porządek. Nawet jeśli ma tylko cztery latka.

Drzwi do trzeciego pokoju były zamknięte na klucz. Krótkie dochodzenie wystarczyło jednak, by znalazła klucz na górze framugi. Uznała, że to zabezpieczenie zastosowano po to, by nie wchodziła tam Cheyenne.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

To był pokój dziecięcy. Pewnie mieszkała tu Cheyenne, gdy była młodsza. Nic dziwnego, że Marty trzymał drzwi zamknięte. Dziecięce rzeczy musiały mu przypominać o nieżyjącej żonie i dzieciach, które pewnie chcieli jeszcze mieć.

Na tę myśl zatrzymała się. To była sprawa, której nie przedyskutowali podczas telefonicznych maratonów.

Czy Marty chciał mieć więcej dzieci? Bez wątpienia musiała z tym pytaniem poczekać. Ona sama zawsze chciała mieć więcej niż jedno dziecko. I chyba skrycie marzyła, że to małżeństwo zaowocuje wspólnymi dziećmi, braćmi i siostrami Cheyenne i Bobby'ego.

Ale sądząc po reakcji Marty'ego na jej synka, to się nie wydawało zbyt prawdopodobne. Znowu stanęła jej przed oczami jego twarz, mina, jaką zrobił, gdy dowiedział się o jej synku.

Najwyraźniej wszystko nie jest takie łatwe i proste, jak sobie

wyobrażała. Jednak Marty powiedział, że nie chce unieważnienia małżeństwa. Ona też nie chciała. Pragnęła go, nie bacząc na jego dziwaczne zachowanie. Była najzupełniej pewna, że z biegiem czasu wszystko się jakoś ułoży.

Rozejrzała się dookoła. Jak na jej gust było tu... zbyt ozdobnie. Irytujące, gęsto marszczone koronkowe firanki ściągnięte były błękitnymi wstążkami. Na kredensie leżała cała seria dziecięcych szczotek, pieluszek, małych niebiesko-białych skarpetek i podstawowych środków medycznych. Wszystko leżało w równych stertach w dwóch małych koszykach.

Na środku podłogi stały dwa pudła z damskimi płaszczami, butami, szalami i rękawiczkami. Na jedno z nich niedbale rzucono dużą, skórzaną torbę. Przy ścianie stało łóżeczko, które stanowiło komplet z kredensem i komodą. Obok kosz z ładnie poskładanymi kocykami, biały fotel bujany, na którym siedział pluszowy miś prawie metrowej wysokości. Na brzeg łóżeczka zarzucono pięknie tkany, niebieski szal.

Wyglądało na to, że nikt tu niczego nie dotykał od dnia śmierci Lory Stryker.

Juliette spojrzała na Bobby'ego, którego trzymała na rękach.

– Chyba będzie lepiej, jak nie będziemy przez jakiś czas wspominać o tym pokoju. Jak myślisz?

Chłopczyk przez moment patrzył na nią poważnie swoimi wielkimi, błękitnymi oczami, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha i zaczął się wiercić.

Zaśmiała się rozradowana, słysząc jego gaworzenie.

– Ach, tak? Tak myślisz? Niech ci będzie. To chyba dobra rada.

Westchnęła. Gdyby tylko Marty'ego można było tak łatwo uszczęśliwić.

Zamknęła za sobą drzwi, odłożyła klucz na miejsce i zeszła na dół. Mały przedpokój prowadził do drzwi frontowych. Na oko nie były używane: na wycieracze nie było ani odrobiny błota. Po prawej stronie mieścił się duży gabinet, w którym pewnie Marty pracował. Dookoła biegły półki gęsto wypełnione najróżniejszymi książkami, a w jednym rogu, naprzeciwko biurka stał niewielki, dziecięcy stolik. Na blacie leżała kartka papieru i rozrzucone kredki.

Salon był po drugiej stronie. Przypominał trochę kuchnię. Tak jak ona, był utrzymany w złocistej kolorystyce przełamanej odrobiną ciemnej zieleni. Tutaj także potrzeba było gruntownego sprzątnięcia i również tutaj swój ślad

zostawiła Cheyenne. Wszędzie poniewierały się zabawki. Ku swojemu miłemu zdumieniu w kącie dostrzegła pianino. Uczyła się gry na fortepianie jeszcze w liceum. Nie była wyjątkowo zdolna, ale lubiła grać dla własnej przyjemności.

Chwilowa radość zniknęła, gdy przypomniała sobie, że wszystkie jej nuty zostały w Kalifornii. Zmarszczyła brwi.

I co z tego, kupi nowe. Nie była biedna, choć rzadko sięgała po pieniądze odziedziczone po rodzicach. Kiedy wyszła za męża, Rob poradził jej, by je zainwestowała. Miały być przeznaczone dla ich dzieci. Teraz żyła z zysków, nie inwestowała dalej. Dziękowała Bogu, że nie wręczyła tych pieniędzy Robowi, żeby zajęła się nimi jego rodzina. Gdyby tak zrobiła, Millicent by ich na pewno nie wypuściła z rąk, jak wszystkiego, co tylko miała w zasięgu.

Bobby zaczynał popłakiwać, więc zmieniła mu pieluszkę, a potem zabrała się do karmienia. Kiedy zasnął, zabrała go na górę i włożyła do nosidełka. Przygotowała mu łóżeczko w pokoju gościnnym. Udało się jej nie obudzić go podczas przekładania. Wróciła na dół.

Inky spoglądał na nią z nadzieją, więc wypuściła go z klatki, zabrała na dwór i oczyściła z błota. Dała mu kolację i zajęła się pudłami, podczas gdy piesek badał nowe otoczenie. Na szczęście rozpakowywanie szło łatwo, bo opisała każdy karton.

Nie było tego wszystkiego wiele, więc w ciągu dwudziestu minut rozmieściła pudła we właściwych pokojach. Marty'ego nie było od prawie godziny. Jak daleko mieszka jego brat?

Zaczęła od rozpakowywania ubrań. Poukładała je w szufladach, które opróżnił dla niej Marty. Kosmetyki ustawiła w łazience obok jego rzeczy. Znowu poczuła motyle w żołądku. Czy to się dzieje naprawdę? Czy rzeczywiście wyszła za przystojnego kowboja, którego ledwie знаła, bo pomyślała, że być może go kocha?

Chyba kompletnie zwariowała.

Była w kuchni, zajęta rozpakowywaniem najpotrzebniejszych rzeczy, głównie Bobby'ego, gdy do jej uszu dobiegły dźwięki nadjeżdżającego samochodu. Kilka chwil później przy tylnych drzwiach usłyszała szybkie, lekkie kroki. Do środka wpadła jej pasierbica.

Dziewczynka aż promieniowała energią. Jednak zatrzymała się w drzwiach, nagle onieśmielona. Juliette uśmiechnęła się do niej i podeszła

bliżej.

– Cześć, Cheyenne. Jestem Juliette.

Kucnęła i podała dziecku rękę. Córka Marty’ego była prześliczna. Na plecy spadały jej ciężkie, ciemne loki. Miała wielkie, niebieskie oczy, a w uśmiechu ujawniała idealne, perłowobiałe zęby i dołeczki w policzkach, które kiedyś będą doprowadzać chłopców do szaleństwa.

– Cześć – powiedziała dziewczynka. – To ty chcesz być moją macochą?

– Ona jest twoją macochą – poprawił ją łagodnie Marty, który właśnie stanął w drzwiach.

Mina Cheyenne się zmieniła Nachmurzona spojrzała przez ramię na ojca.

– Nie chcę jej.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Przykro mi, skarbie. To już przyklepane. Założę się, że ty i Juliette...

– Tatusiu, nie! – Przebiegła przez kuchnię i objęła Marty’ego w kolanach. – Ja jej nie chcę!

Po czym obróciła się na pięcie, przeszła ciężkim krokiem przez kuchnię i zniknęła w salonie. W kuchni zapadła cisza.

– Ona czasami jest grzeczniejsza – powiedział Marty. – Przyzwyczaj się do ciebie.

Juliette patrzyła na niego bez słowa.

Dźwięk dochodzący z góry sprawił, że w głowie zapaliły się jej wszystkie lampki alarmowe. Bobby! Zostawiła go w pokoju gościnnym. Cheyenne właśnie poszła na piętro.

Ona i Marty równocześnie rzucili się w stronę schodów. Miał dłuższe nogi, więc ją wyprzedził. Dobięła w chwili, gdy dziewczynka otworzyła pchnięciem drzwi do pokoju gościnnego. Marty właśnie do niej dopadł.

Juliette potknęła się na korytarzu. Dobięł ją głos Marty’ego, surowy i gniewny:

– Cheyenne, nie!

Juliette wpadła do pokoju i stanęła jak wryta.

Cheyenne stała obok przenośnego łóżeczka. Ojciec ścisnął ją mocno za nadgarstek. Małe paluszki zaciśnięte były na dużym, drewnianym klocku.

Gdyby spadł na delikatną główkę Bobby’ego...

– Nie wolno nic rzucać na śpiące dzieci – powiedział stanowczo Marty.

Ojciec i córka przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. W końcu dziewczynka wysunęła dolną szczękę, a ciemne brewki ściągnęła w jedną

linię.

– Nie lubię tego dziecka. Nie chcę go w moim domu.

Ich podniesione głosy przstraszyły Bobby'ego. Zaczął kwilić.

Juliette była tak przerażona i zła, że ledwie była w stanie coś powiedzieć, ale wiedziała, jak ważne jest, żeby to dziecko miało wrażenie, że ma coś do powiedzenia we własnym domu.

– Popatrz, Cheyenne. – Ze wszystkich sił próbowała mówić cicho i spokojnie. – Obudził się. Jeśli chcesz, możesz pomóc mi zmienić pieluszkę.

Cheyenne przez moment mierzyła Juliette wzrokiem. Bobby znowu załkał, a w oczach dziewczynki pojawił się dziwny błysk. Otworzyła usta i pisnęła tak głośno, że chyba musiał słyszeć ją każdy w promieniu kilku kilometrów.

Ciałkiem Bobby'ego wstrząsnął dreszcz i dziecko wybuchnęło płaczem.

Marty się wzdrygnął. Potem otoczył Cheyenne ręką w pasie i przerzucił ją sobie przez ramię. Wyszedł z pokoju.

Juliette wzięła Bobby'ego na ręce i próbowała go uspokoić. Stała w drzwiach, żeby śledzić dalszy rozwój wypadków.

Marty podszedł do drzwi pokoju Cheyenne. Był nieugięty. Zamknął wciąż wrzeszczącą dziewczynkę w pokoju i powiedział:

– Kiedy już skończysz i przeprosisz za wrzaski, będziesz mogła wyjść.

Po czym zamknął za nią drzwi i nie zrobił tego delikatnie.

Otworzyły się niemal natychmiast. Cheyenne, wrzeszcząca i zalana łzami, próbowała wyskoczyć na korytarz, ale Marty ją złapał i wepchnął z powrotem do pokoju.

Odwrócił się i spojrzał na Juliette.

– Chodźmy na dół. Niedługo się uspokoi.

Bobby przez kilka chwil ssał jeszcze smoczek, po czym zapadł w sen. Juliette zniosła go na dół i włożyła do fotelika stojącego na kuchennym stole. Za żadne skarby świata nie zamierzała zostawić go na górze razem z Cheyenne.

– Zdażyłaś się rozejrzeć po domu? – zapytał Marty, wyciągając dwie szklanki i otwierając lodówkę.

Wyjął karton mrożonej herbaty i nalał jej do szklanek, po czym podał Juliette jedną z nich.

– Dziękuję. – Kiwnęła głową. – Trochę się rozejrzałam, kiedy rozpakowywałam rzeczy. Minie trochę czasu, nim zapamiętam, gdzie co jest

Pociągnął długi łyk herbaty. Próbowwała nie zwracać uwagi na to, jak poruszała się jego grdyka na silnej, opalonej szyi, gdy przełykał.

– Słuchaj – powiedział wreszcie, odstawiając szklanę na stół. – Przepraszam, że tak się zachowałem w związku z dzieckiem.

– Nie, to ja powinnam przeprosić... Przerwał jej ruchem dłoni.

– Proszę, pozwól mi to z siebie wyrzucić. Zaskoczona, przestraszona powagą jego tonu, skinęła głową.

– Moja pierwsza żona zmarła, gdy rodziła naszego synka. To był wcześniak, przeżył tylko kilka dni.

Boże. Była tak zszokowana, że mogła tylko patrzeć na niego bez słowa. Wciąż słyszała to, co przed chwilą powiedział.

Wstał gwałtownie, odstawił szklanę, złapał kurtkę i założył ją na siebie. Robił wszystko odwrócony do niej tyłem.

– To dla mnie... trudne. To znaczy, twoje dziecko i...

Odwrócił się i spojrzał na nią. Po raz pierwszy zrozumiała, skąd się brało to cierpienie w jego spojrzeniu.

O, Boże. Co ona narobiła? Ledwie oddychała. Czowała, że sama zaraz się rozpłacze.

– Marty... Marty. Tak mi przykro...

– Wróć na kolację – powiedział cicho, po czym otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Juliette siedziała bez ruchu. Wsłuchiwała się w odgłos jego kroków na werandzie i schodkach.

Teraz rozumiała, dlaczego pokój dziecienny był urządzony na niebiesko. Pewnie wiedzieli, że dziecko, które ma się narodzić, to chłopiec. Oddychała z trudem. Zasłoniła usta dłonią, żeby zdusić łkanie, które nią wstrząsało.

Czy może być coś gorszego niż utrata dziecka? Chyba nie. Strata Roba była druzgocąca. Ale gdyby coś się stało Bobby'emu... Sama myśl o tym była nie do zniesienia.

Dlaczego nic jej nie powiedział? Niewiele gorszego mogło się zdarzyć. Nic dziwnego, że tak się zachowywał. Pewnie nie był w stanie patrzeć na Bobby'ego, słuchać go... Przypomniała sobie, jak unikał wzięcia fotelika nawet wtedy, gdy wyraźnie potrzebowała pomocy, jak wybiegł z sypialni. Myślała, że był zły. Może i był, ale, co było gorsze, dużo, dużo gorsze, cierpiał jak na torturach.

Jej synek będzie mu przypominał o tym, co stracił. Będzie jak sól sypana

na ranę, która nie zagoiła się przez dwa lata.

Siodłał konia ze ściśniętym gardłem. Oparł czoło o gładką skórę, zacisnął palce na brzegach tak mocno, że poczuł ból.

Płacz synka Juliette dogłębnie nim wstrząsnął. A potem płacz ustał niemal natychmiast, gdy wzięła go na ręce. Zostało tylko to pochlipywanie, kwilenie, a to było jeszcze gorsze. Jego syn nigdy nie był w stanie naprawdę zapłakać. Mógł tylko słabiutko kwilić.

Boże, to nie do zniesienia. Czy to kara za to, że nie uratował Lory i syna?

Przez resztę popołudnia został na zewnątrz. Doglądał stada i sprawdzał, które krowy wkrótce się ocielą. Roczne cielęta wyglądały na zdrowe, bo było tak mało śniegu, że bez trudu znajdowały trawę. Jednak prognoza pogody na najbliższe kilka dni była trochę niepokojąca. Podobno luty miał być wyjątkowo mroźny.

Wrócił do domu około szóstej, sprawdziwszy wcześniej poziom wody w zbiornikach. Musiał zebrać całą swoją odwagę, żeby wejść do kuchni. Rozluźnił się dopiero, kiedy zobaczył, że niemowlęcy fotelik na kuchennym stole jest pusty.

Zapach jedzenia drażnił jego nozdrza. Rozpoznał je od razu. Zupa jarzynowa, którą wczoraj dała mu Silver. Ale wy wachał również bułeczki albo ciasteczka w piecu. Pocięła mu ślinka. De czasu minęło od chwili, gdy stając w drzwiach, czuł aromat czegoś smakowitego? Na pewno co najmniej sześć miesięcy, czyli tyle, ile minęło od ślubu Decka i Silver. Kiedy mieszkał tutaj jego niechlujny brat, dzielili się przynajmniej kuchennymi obowiązkami.

Juliette stała przy stole. Ku swojego zdumieniu na krzeselku obok zobaczył Cheyenne. Wycinały szklanką kółka z ciasta.

– Witajcie – powiedział, siląc się na lekki ton. – Starczy mi czasu na prysznic?

Podszedł bliżej i pocałował Cheyenne w czubek głowy. Juliette spojrzała na niego. Jej mina przypominała mu wyraz oczu klaczy, która nie ufa swojemu jeźdźcowi.

– Pewnie. Zjemy, kiedy będziesz gotowy.

– Dajcie mi jakieś dwadzieścia minut – powiedział.

Odwiesił kurtkę i kapelusz, zdjął buty i przeszedł w skarpetkach przez kuchnię.

Wrócił przebrany, świeżo ogolony i wykąpany. Stół był już zastawiony. Zostało mu tylko usiąść za nim. Bobby znowu się obudził i leżał w swoim foteliku, ale był cicho. Juliette ustawiła fotelik w taki sposób, żeby Marty nie musiał patrzeć na chłopca.

To była... prawdziwa kolacja, jak w normalnych rodzinach. Juliette zastąpiła nawet koszmarną herbatę ekspresową prawdziwą, parzoną. Jednak mimo to posiłek był daleki od normalności. Juliette jadła w milczeniu. Gadała głównie Cheyenne. Zdawał sobie sprawę, że on i Juliette muszą ustalić pewne rzeczy, ale nie mogli przecież rozmawiać przy dziecku... dzieciach.

Pomógł posprzątać po kolacji.

– Może położę Cheyenne spać? Będziesz miała trochę czasu, żeby się przygotować na przyjęcie.

Kiwnęła głową, choć z jej twarzy nie zniknął nieufny wyraz. Bez słowa wyjęła dziecko z nosidełka i poszła z nim na górę.

Położył Cheyenne do łóżka, przeczytał jej kilka bajek. Nadeszła pora, na którą umówiona była opiekunka do dzieci. Kiedy był w pokoju Cheyenne, słyszał kroki Juliette na schodach. Na początku nie mógł jej znaleźć, ale wreszcie dostrzegł poświatę spod drzwi dawnego pokoju Decka. Zawahał się przed drzwiami. Zapukał lekko, a drzwi ustąpiły przed jego dotknięciem.

Juliette siedziała na łóżku oparta na poduszkach. Miała na sobie długi, ciemnoniebieski szlafrok, który rozchylił się na tyle, że widać było jej łydki i kolana. Drobnie stopy były bose. Trzymała w ramionach dziecko i karmiła je z butelki. Śpiewała. Przerwała, gdy drzwi się otworzyły. Uniosła pytająco brwi, ale nie powiedziała ani słowa.

Zastygł na moment. Zamknął oczy z bólu.

– Jadę po opiekunkę do dzieci – powiedział. Kiwnęła głową.

– Jak wrócisz, będę gotowa. On już prawie zasnął.

Z łagodnym uśmiechem pochyliła się znowu nad dzieckiem.

Wciąż miał ten uśmiech przed oczami, gdy jechał po opiekunkę i z powrotem. Wcześniej uśmiechała się do niego, a w tym uśmiechu kryła się obietnica intymnej bliskości. A potem dowiedział się, jak go okłamała – a przynajmniej oszukała – i wszystko między nimi się zmieniło. Czy pozwoli się dzisiaj dotknąć?

Puls mu przyspieszył na samą myśl o tym. Miał nadzieję, że to będzie prawdziwe małżeństwo, że ona nie będzie się wzbraniała.

Kiedy wrócił, Juliette była gotowa, tak jak obiecała.

Powiedziała opiekunce kilka ważnych rzeczy o synku, zapewniła ją, że prawdopodobnie będzie spał jak zabity, a Marty cały czas gapił się na nią. Miała na sobie malinową sukienkę i żakiet, a na nogach kolejną parę ślicznych szpileczek.

Będzie musiał jej kupić porządne buty albo sobie odmrozi te zgrabne nóżki. Choć musiał przyznać, że szkoda byłoby zakrywać takie cuda. Jednak nic jej o tym nie powiedział.

Skończyła z instrukcjami dla opiekunki. Nim zdążył jej w tym pomóc, włożyła płaszcz, krótszy niż poprzedni, pobrudzony przez psa.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Rozdział 4

Kiedy wjechali na duży parking przy stacji benzynowej, pomyślała, że Marty chce najpierw zatankować. Ale podjechał pod drzwi baru, wysiadł, obszedł samochód dookoła i otworzył przed nią drzwi. Wtedy do niej dotarło, że to przyjęcie, ich weselne przyjęcie ma się odbyć właśnie w tym barze.

Obok przeszło kilku kowbojów oraz dwie pary. Każdy z mężczyzn miał kapelusz na głowie i wszyscy nosili niebieskie dżinsy. Serce jej zamarło.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wszyscy będą w dżinsach?

Mina Marty’ego była nieprzenikniona.

– Nie pomyślałem o tym. – Przyjrzał się beznamiętnie jej sukience, po czym wziął ją za łokieć i pociągnął w stronę lokalu. – Wyglądasz dobrze.

Chciało się jej płakać. Wyglądała lepiej niż dobrze i doskonale o tym wiedziała. Jednak czuła się tu tak nie na miejscu, jak łabędź w sadzawce pełnej kaczek. Dobrze przynajmniej, że na parkingu nie było błota do kolan jak przed jej nowym domem.

Marty otworzył drzwi szarpnięciem. Weszli do środka. Wszyscy zwrócili się w ich stronę. Juliette czuła, jak na policzki wypełza jej gorący rumieniec.

Bar był cały utrzymany w czerni. Wszędzie pełno było chromowanych dodatków. Na środku stały wielkie głośniki i mikrofon. Dookoła kłębił się tłum kowbojów, jednak Marty poprowadził ją do pary stojącej w pobliżu wejścia. Wziął od niej płaszcz i rzucił go na pobliskie krzesło. Odwrócił się i przedstawił jej parę:

– To mój brat, Deck, i jego żona, Silver. A to Juliette.

Deck był odrobinę wyższą wersją Marty’ego. Spod runda czarnego kapelusza wyzierały nieco ciemniejsze, niebieskie oczy. Nie był tak uderzająco przystojny jak jego brat, choć i on zwracał uwagę swoją surową urodą. Wyglądał na człowieka, który rzadko się uśmiecha. Podał Juliette rękę.

– A więc naprawdę wyszłaś za mojego brata. Chyba powinienem mu pogratulować.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się, a w odpowiedzi nieco złagodniał chłód jego spojrzenia. W oczach błysnęła mu też iskierka rozbawienia.

– Szkoda, że cię nie poznałem przed ślubem. Mógłbym cię ostrzec przed Martym.

– Zamknij się – jęknął Marty.

Wcale nie wyglądał na rozbawionego. Kiedy Deck spojrział w zwężone oczy brata, spoważniał od razu. Krępujące milczenie przerwała Silver, żona Decka:

– Miło cię poznać, Juliette.

Podawała jej rękę. Była wysoka. Juliette nie dorównałaby jej wzrostem nawet w najwyższych szpilkach. Miała burzę ciemnych włosów i najpiękniejsze oczy, jakie Juliette kiedykolwiek widziała.

– Bardzo mi się podoba twoja sukienka – dodała Silver.

– Dziękuję – odparła na to Juliette i spojrzała na siebie krytycznie. – Obawiam się tylko, że jest trochę zbyt strojna, jak na tę okazję.

Silver się roześmiała.

– Sama zobaczysz, że jest zbyt strojna na każdą okazję tutaj. Ludzie w Dakocie Południowej właściwie nie zdejmują wranglerów. – Uśmiechnęła się. – Ja pochodzę z Wirginii. Wciąż się nie przyzwyczaiałam do myśli, że moje śliczne ubrania pokryją się kurzem, bo nie będę tu miała okazji ich założyć.

Wranglery. Znowu ogarnął ją niepokój. Ona nawet nie miała prawdziwych dzinsów, poza parą cienkich szortów, które przywiozła z sobą jeszcze z Kalifornii. Do pracy musiała się ubierać elegancko.

– Wranglery – powiedziała wolno. – To będzie mały problem.

– Nic się nie martw. Umówimy się któregoś dnia na zakupy i sprawimy ci garderobę kowbojki – powiedziała Silver. – Ja pewnie dzisiaj nie zostanę tu długo. Ostatnio szybko się mecze.

Silver była w ciąży. Bardzo zaawansowanej ciąży, sądząc po rozmiarze brzucha pod czarnym swetrem.

– Kiedy masz termin? – zapytała Juliette.

To była podstawowa, kluczowa informacja dla każdej kobiety...

– Juliette ma dziecko – powiedział Marty.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Powtórz to, co powiedziałaś – powiedział Deck rozkazującym tonem, do którego najwyraźniej przywykł.

Policzki ją paliły, ale zmusiła się do podniesienia brody i uśmiechu.

– Mam jedenastotygodniowego synka. Mój mąż zmarł nagle dziesięć

miesiący temu.

Deck i Silver wpatrywali się w Marty'ego, a potem zwrócili wzrok na nią. Oboje byli kompletnie oniemiałi. Wiedziała, dlaczego. Prawdopodobnie nie mogli uwierzyć w to, że Marty ożenił się z kobietą, która ma małego synka.

Silver pierwsza wzięła się w garść.

– Przykro mi z powodu twojego męża – powiedziała. – Jak ma na imię twój syn?

– Robert, ale nazywam go Bobbym.

– Ładnie. My kłócimy się o imię od kilku miesięcy.

Deck położył rękę na ramieniu żony.

– Idę kupić bratu coś do picia. Czy panie też mają na coś ochotę?

Juliette odmówiła, podobnie jak Silver. Deck popchnął Marty'ego w stronę baru. Panie usiadły. Juliette czuła się skrepowana. Nie pasowała do tego małego baru z metalowymi stolikami, ceratowymi krzeselkami i jasnym neonem reklamującym piwo, wiszącym nad kontuarem. Rzadko chodziła do pubów. Nie piła alkoholu z wyjątkiem obowiązkowego łyka szampana na ślubach. I zgodnie z tym, co powiedziała Marty'emu w dniu, kiedy się poznali, słabo tańczyła.

Ktoś przypiął do ściany wielkie, papierowe, białe gołąbki, a na sąsiednim stoliku stał ogromny tort z białym lukrem. Najwyraźniej jednak nikt nie planował ceremonii krojenia ciasta przez nowożeńców, bo do stołu właśnie podszedł jakiś kowboj i ukroił sobie wielki kawał. Szczerze mówiąc, Juliette ulżyło. Przyjęcie weselne z zachowaniem wszelkich zwyczajowych rytuałów mogłoby tylko jeszcze pogorszyć sytuację. A wtedy ktoś zaczął dzwonić łyżeczką w szklanekę. W ciągu kilku sekund bar zaczął rozbrzmiewać dzwonieniem butelek, w które uderzano sztuciami, scyzorykami i wszystkim, co kto miał pod ręką.

Juliette wiedziała dobrze, co to oznacza. Poczowała się jeszcze gorzej. Hałas ustanie dopiero wtedy, gdy pan młody pocałuje pannę młodą. Marty był przy barze, najwyraźniej nieświadomy sytuacji do czasu, gdy brat szturchnął go w żebra i wskazał Juliette. Marty spojrzał na nią, wstał i ruszył w jej stronę. Nie uśmiechał się.

Wyciągnęła rękę. Chciała go zatrzymać.

– Myślę, że nie...

Była to próba zatrzymania pędzącego pociągu.

Złapał ją za rękę i pociągnął. Wstała z krzeselka. A wtedy, nim dotarło do niej, co zamierza zrobić, wsunął ramię pod jej kolana i wziął ją na ręce. Trzymał ją ciasno przy sobie. Jego usta były coraz bliżej.

Zarzuciła mu ręce na szyję, powodowana bardziej odruchem niż namiętnością. Jednak gdy ją wreszcie pocałował, pożądliwie, żarłocznie, przywarła do niego i odpowiedziała na pocałunek. Jej palce powędrowały wyżej, wplątały się w jego włosy. Jak to możliwe, że kocha go aż tak bardzo?

Bar aż się zatrzęsł od okrzyków i gwizdów. Marty uniósł głowę i uśmiechnął się triumfująco. Była to pierwsza oznaka lepszego humoru od chwili, gdy dowiedział się o Bobbym.

– Ci frajerzy będą się teraz ustawiać w kolejce po pomoc w napisaniu ogłoszeń o poszukiwaniu żony. Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek oglądały ich oczy.

Te słowa podziały na nią jak kubek zimnej wody.

– Świetnie – powiedziała, próbując nie zdradzić się z urażonymi uczuciami. – Dodam to do listy powodów, dla których się ze mną ożeniłeś.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wolno postawił ją na ziemi.

– Nie ukrywałem od początku, o co mi chodzi – powiedział z gniewem. – To ty zagrałaś nie fair.

Opadła na krzesło, a on wrócił do baru. Oparła się łokciami o stół i ukryła twarz w dłoniach.

– Juliette? – W głosie Silver brzmiała troska. – Nie wiedziałaś o tym, że Marty...

Uniosła głowę i zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Wiedziałam. Odpowiedziałam na jego ogłoszenie. Doszliśmy do porozumienia w sprawie małżeństwa.

Spojrzała na Silver. Współczucie w oczach rozmówczyni niemal doprowadziło ją do łez.

– On nie wiedział – powiedziała, przełykając je. – Marty nie wiedział, że mam synka. Dowiedział się dopiero po ślubie.

W ślicznych oczach Silver błysnęła konsternacja.

– To wszystko wyjaśnia.

– Co?

– Dlaczego jest dzisiaj taki... dziwny. – Silver pokręciła głową. Przez chwilę zdawała się toczyć ze sobą wewnętrzną dysputę. W końcu się

odezwała: – Czy powiedział ci o żonie i synu?

– Wiedziałam, że jest wdowcem – powiedziała cicho. – O synku dowiedziałam się dopiero po...

Ciemnowłosa kobieta położyła dłoń na jej ręce uspokajającym gestem.

– Nie mogłaś tego przewidzieć. Nie znałam Lory, ale Deck opowiadał mi, że poród drugiego dziecka zaczął się przed terminem. Musiała pojechać ciężarówką na pole, żeby znaleźć Marty'ego. Zabrał ją do szpitala, ale dziecko urodziło się po drodze. Lora miała silny krwotok. Wykrwawiła się, nim dojechali na miejsce.

Juliette poczuła się tak, jakby dostała silny cios w splot słoneczny. Nagle zrozumiała z całą ostrością, dlaczego Marty nie był w stanie o tym rozmawiać.

– A dziecko zmarło.

Silver odchrząknęła.

– Trzy dni później. Był po prostu za malutki i miał za słabo rozwinięte płuca. Marty bardzo ciężko to zniósł. Tak przynajmniej twierdzi Deck, chociaż na pierwszy rzut oka może się wydawać, że nie jest tak źle. Marty potrafi zamaskować swoje uczucia dowcipem i wdziękiem. Podejrzewam, że to się zaczęło jeszcze wcześniej, gdy zmarła ich siostra, Genie. Trudno się do niego zbliżyć. Wszyscy łapią się na ten zabójczy uśmiech i aparycję.

Juliette oddychała z trudem. Miała nadzieję, że ucisk w żołądku przejdzie. Czy jest w ogóle sposób, w jaki mogłaby mu zadośćuczynić za wprowadzenie siłą w jego życie Bobby'ego?

Reszta wieczoru upłynęła w takiej samej atmosferze. Marty podszedł do niej kilka razy, ale nie miała pojęcia, co mu powiedzieć, więc po paru krepujących próbach zrezygnował z tego i został przy barze w grupie mężczyzn, a ona przy małym stoliku z Silver. Starła się na niego nie patrzeć, ale nie była w stanie się powstrzymać. Przyciągał ją jak magnes. Z ulgą zauważyła, że nie pił zbyt wiele.

Dołączyła do nich Lyn McCall, szwagierka Silver. Od czasu do czasu podchodził ktoś jeszcze i się przedstawiał. Okazało się, że głośniki i mikrofon w barze służą do karaoke.

Lyn dowiedziała się ostatnio, że również zostanie matką. Gdyby nie posepna obecność męża, Juliette cieszyłaby się rozmową o ciąży i dzieciach.

– Juliette musi sobie sprawić nowe ubrania! – wrzasnęła Silver do Lyn, przekrzykując zawroźnienie jakiegoś fałszującego wykonawcy karaoke.

Spojrzała na Juliette. – Buty też?

Juliette kiwnęła głową.

– Poza bielizną prawie wszystko.

– Dżinsy możemy kupić w Phillip – powiedziała Lyn. – Buty i płaszcz też. Czy Marty zatrzymał jakieś rzeczy pierwszej żony?

– To na nic – powiedziała Silver. – Widziałam ją na zdjęciach. Była tak wysoka jak ja i... – wykonała gest obrazujący obfitość kształtów w okolicach klatki piersiowej – ... dobrze wyposażona. – Ziewnęła szeroko. – Przepraszam, moja pora dawno minęła. Powinnam już leżeć w łóżku. Deck pojawił się obok, jakby usłyszał jej słowa.

– Idziemy?

Silver kiwnęła głową.

– Juliette też jest na pewno wykończona.

Posłała mężowi znaczące spojrzenie.

– To może powiem Marty’emu, że powinien ją zabrać do domu?

Odwrócił się na pięcie i poszedł do baru.

– My też będziemy się zbierać – powiedziała Lyn, wstając i idąc do swojego męża, Cala.

Kiedy do niego podeszła, wspięła się na palce i powiedziała mu coś na ucho. Juliette ścisnęło się serce na widok męskiego ramienia przyciągającego ją do siebie i palca, który uniósł podbródek kobiety gotowej do pocałunku.

Marty podszedł do niej. Ubrali się i wyszli na parking.

Powietrze na zewnątrz było mroźne. Zrobiło się dużo chłodniej.

Deck wskazał na księżyc otoczony czerwoną aureolą.

– Śnieg w nocy – wyjaśnił.

– Och, świetnie. – Lyn pokręciła głową. – Pierwszy tydzień małżeństwa i od razu Dakota Południowa pokazuje ci, jakie tu potrafią być zimy. Zadzwoń do mnie, jeśli da ci to w kość.

W drodze do domu Marty wyjaśnił jej, że zarówno Lyn, jak i Silver niedawno wyszły za mąż. Juliette odetchnęła z ulgą na wieść, że również dla Silver to będzie pierwsza zima w Kadoce. Przynajmniej nie będzie jedyną nową.

Cal i Lyn zjechali z autostrady kilka minut przed nimi.

Juliette ucieszyła się, że Lyn mieszka tak blisko. Kiedy przyjechali do domu, Many zapłacił opiekunce do dzieci i pojechał odwiedzić ją do domu,

podczas gdy Juliette poszła na górę sprawdzić, co u Bobby'ego.

I u Cheyenne, powiedziała sobie w myślach. Miała teraz dwójkę dzieci.

Bobby wciąż spał w tej pozycji, w jakiej go zostawiła. Leżał na boku. Miał zabawny zwyczaj wyciągania jednej nóżki. Wyglądało to tak, jakby planował ruszyć na spacer zaraz po przebudzeniu.

Cheyenne spała na wznak, z rękami odrzuconymi na boki. Wyglądała anielsko. Juliette uśmiechnęła się, całując dziewczynkę delikatnie w policzek. Z tym dzieckiem życie na pewno nie będzie nudne. Po wcześniejszej awanturze Cheyenne wyszła z pokoju i wyszeptła przeprosiny. Juliette ze wszystkich sił starała się potem wciągnąć ją w przygotowania do kolacji. W sumie musiała przyznać, że ich pierwszy dzień wcale nie był taki zły, mimo początkowego zgrzytu.

Zamknęła drzwi sypialni dziewczynki i zeszła na dół wypuścić Inky'ego jeszcze raz przed spaniem. Następnie zamknęła go w kuchni. Zwykle spał na jej łóżku, ale coś jej mówiło, żeby nie próbować przekonywać do tego Marty'ego. Zsunęła z nóg buty i weszła po schodach, niosąc je w ręce.

Gdyby tylko mogła tak optymistycznie patrzeć na to małżeństwo, jak na bycie macochą. Nie była sobie nawet w stanie wyobrazić najbliższej przyszłości, skoro Marty nie może znieść obecności dzieci. Przełknęła łzy. Zwykle nie poddawała się łatwo. Wyszła za Marty'ego. Dotrzyma małżeńskiej obietnicy, powtarzała sobie w duchu.

Po prostu potrzeba mu czasu, żeby się przyzwycząić do zmian, jakie w jego życie wnieśli ona i Bobby. Miał przyjaciół i rodzinę. Mężowie szczerze kochali swoje żony. Może więc i on zdoła *to* w sobie wypracować.

Szybko przygotowała łóżko. Jednak gdy była już gotowa do wślizgnięcia się pod kołdrę, zawahała się. Odruchowo pogładziła poduszkę. Takie nadzieje wiązała z tą nocą, marzyła o spełnieniu tych pragnień, które ją nękały od chwili, gdy go poznała. Nigdy w życiu nie pożałowała żadnego mężczyzny z taką siłą, z jaką pragnęła Marty'ego.

Ale Marty'ego tu nie było. Co gorsza, kiedy wróci do domu, będzie cichy i nieszczęśliwy. Tak się zachowywał od chwili, gdy wyszła ze swojego mieszkania z Bobbym na rękach.

Nie chciała, by ich pierwsza małżeńska noc tak wyglądała.

Wolno odwróciła się od łóżka. Zostawiła zapaloną jedną lampkę, po czym poszła do pokoju, gdzie spał Bobby, i położyła się na wielkim łożu.

Kiedy Marty wrócił do domu, wszędzie było ciemno. W kuchni piesek jego żony warknął bez przekonania.

– Odpuść sobie, kundlu.

Poszedł na piętro. Niecierpliwe oczekiwanie dawało mu się już tak we znaki, że skierował kroki prosto do sypialni.

Po to tylko, żeby znaleźć łóżko tak samo zimne i puste, jak każdej nocy przez ostatnie dwa lata. Zalała go fala rozczarowania. Było tak silne, że zwalczyło nawet żądzę. Zaraz potem zjawiał się gniew. Tylko tyle był w stanie czuć po takim koszmarnym dniu.

Miał nadzieję, że będzie na niego czekała. Liczył, że uda im się ocalić choć trochę ze związku, który, jak się wcześniej wydawało, wspólnie zaczęli budować. Lecz najwyraźniej Juliette nie była zainteresowana związkiem z nim w zakresie, który przekraczał założenie obrączki na jej palec. Dlaczego, do diabła, za niego wyszła?

Złowiła go. Dał się złapać na to flirtujące trzepotanie rzęsami, szelest spódnicy wokół szczupłych pośladków, pełne wahania reakcje.

Teraz z bolesną świadomością zdawał sobie sprawę z tego, jakiego zrobił z siebie idiotę. Chciał się jak najszybciej ożenić, żeby mu nie umknęła, a ona wcale nie zamierzała nigdzie uciekać. Jej zależało na tym małżeństwie nie mniej niż jemu. Pytanie tylko dlaczego?

Zęby zdobyć ojca dla syna? Jakoś w to nie wierzył. Gdyby o to chodziło, zaczęłaby od sprawdzenia, czy się nadaje do tej roli.

Miał wrażenie, że czegoś mu w tym wszystkim brakuje, że umyka mu jakaś ważna informacja. Dlaczego nie powiedziała mu od razu o swoim synku?

Nagle odpowiedź na to pytanie stała się jasna jak słońce, nawet jeśli nie do końca rozumiał powód. To ona za wszelką cenę chciała wyjść za mąż. Tak bardzo, że nie miała ochoty ryzykować szansy. Mógłby się przecież przestraszyć dziecka. A ona musiała wyjść za mąż.

Teraz musiał się jeszcze tylko dowiedzieć, dlaczego.

Spała w pokoju, który kiedyś zajmował jego brat, Deck. Leżała na wielkim łóżku. Obok stało rozkładane łóżeczko jej dziecka. Przymknął drzwi. Czuł wszechogarniające zmęczenie i smutek. Wrócił do swojego pokoju. Rozebrał się i położył do łóżka, które miał nadzieję dzielić ze swoją świeżo poślubioną żoną.

Męczyły go koszmary, w których mieszały się obrazy szpitali,

czerwonych świateł karetek pogotowia i dziecięcego płaczu.

Kiedy obudził się następnego ranka, w domu było chłodniej niż zwykle. Ubrał się i zszedł na dół. Podkreślił ogrzewanie, Głupi psiak Juliette tańczył mu dookoła nóg. Domyślił się, że jeśli chce uniknąć nieprzyjemnego wypadku, powinien wypuścić go na zewnątrz.

Padał śnieg. Zdążyło już napadać kilkanaście centymetrów białego puchu. Zrobiło się też zimno. Bardzo zimno. Termometr na werandzie wskazywał minus osiem stopni. Z północy wiał silny, porywisty wiatr. A niech to. W taką pogodę nie da się pojechać konno dalej niż pół kilometra.

Inky'emu też niespecjalnie podobała się mroźna pogoda. Wskoczył na dwór, załatwił swoje sprawy i szybko przybiegł z powrotem do Marty'ego.

Marty nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Dobra robota – powiedział do psa. – Trzeba się spieszyć, żeby nie zamarznąć.

Zabrał Inky'ego z powrotem do kuchni.

Miał nadzieję, że Juliette będzie już na nogach, jednak zjadł śniadanie samotnie, a jej wciąż nie było. Prawdopodobnie poprzedni dzień ją wykończył. Niech nadrobi zaległości w spaniu. Ubrał się cieplej.

Poszedł do garażu, do którego, na szczęście, wstawił ostatniego wieczoru samochód. Wskoczył za kierownicę i ruszył na objazd.

Jechał wolno. Wpatrywał krów, które mogły zacząć przedwcześnie się cielić. On i Deck próbowali spędzić wszystkie cielne krowy na pastwiska bliżej domu, bo pogoda miała się zmienić, ale niektórym z nich udało się zwieść ludzi. Rodziły wtedy gdzieś tam, w śniegu, i cielęta zamarzały. Z radiowej prognozy pogody Marty dowiedział się o nadchodzącej zadymce. Wystarczyło jedno spojrzenie za okno, by to potwierdzić. Padały teraz małe płatki, jakie na ogół zapowiadają mnóstwo śniegu.

Kiedy wrócił, zastał Decka w stodole. Razem poszli na pastwisko.

– Cześć.

Brat przywitał się normalnie, ale przyglądał się Marty'emu bardzo uważnie.

– Cześć. – Zignorował to spojrzenie. – Może się zrobić paskudnie.

– Prawdopodobnie się zrobi. – Deck zrzucił z paki samochodu bale lucerny. – Jak tam twoja żona?

– Świetnie. Deck uniósł brwi.

– Wszystko w porządku?

– Świetnie.

Nuta troski w głosie brata prawie go złamała, ale zacisnął zęby. Deck go znał. Sam doświadczył bólu związanego ze śmiercią ich siostry. On, bardziej niż ktokolwiek inny, wiedział, jakim piekłem stało się życie Marty’ego po śmierci Lory i dziecka. Marty przełknął ślinę.

– Nie mówmy o tym. Deck kiwnął głową.

– Dobrze.

Skończyli karmienie. Resztę poranka zajęło im rąbanie lodu na zbiorniku wodnym. Potem każdy z nich wrócił do swojego domu.

Marty wszedł na werandę i strzepnął śnieg z dżinsów oraz butów. Miał zziębnięte ręce. Sięgnął do klamki, ale nie chciała się otworzyć. Majstrował przy niej kilka chwil i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że drzwi są zamknięte. Zaraz potem zobaczył Juliette biegnącą otworzyć.

– Nigdy tu nie zamykamy drzwi – warknął na nią.

– Byłam sama z dwójką dzieci – powiedziała, prostując się i podnosząc podbródek. – Nie jestem przyzwyczajona do niezamkniętych drzwi.

A niech to. Nie chciał zaczynać dnia w ten sposób. Powinien ją przeprosić, a zamiast tego zaczął na nią wrzeszczeć.

– Po prostu się zdziwiłem – powiedział, ściągając rękawice.

Jego palce były białe z zimna. Nie ubrał się odpowiednio na taką pogodę.

– Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem.

Patrzyła na jego dłonie.

– To nieładnie wygląda. Tak się zaczyna odmrożenie?

Był teraz cały przemoczony od topniejącego śniegu. Zadrzał z zimna.

– Nic mi nie będzie. Idę wziąć gorący prysznic. – Ruszył z miejsca, zatrzymał się i spojrzał na nią. – Musimy porozmawiać.

– Wiem. – Odwróciła wzrok. – Czy chcesz, żebym ci przygotowała ciepły lunch, gdy będziesz brał prysznic.

Kiwnął głową. Był jej wdzięczny, że przynajmniej próbuje.

– Byłoby miło.

Był w połowie schodów, gdy zauważył, że jej piesek idzie za nim. Już miał wrzasnąć coś o tym, że zwierzak nie może zostać w domu, kiedy zdał sobie sprawę, że przecież nie może zamknąć stworzenia w stodole, gdzie gromadziły się inne psy, gdy było zimno. Inky był za mały, zamarzlby na śmierć. A jeśli to sprawiało, że Juliette czuła się tu bardziej jak w domu, to

chyba nie pozostawało mu nic innego; jak przyzwyczać się do obecności pieska.

– Tylko schodź mi z drogi – mruknął.

Kiedy wyszedł spod prysznic, pies leżał na łóżku, na czystej koszuli, którą na nie rzucił, nim wszedł do łazienki. Mógłby się założyć, że zwierzak się uśmiechał, a potem się skrzywił, gdy Marty wyciągnął spod niego koszulę.

– Zjeżdżaj stąd, kundlu.

Inky wylądował na ziemi, zadrapał pazurkami w podłogę, ale nie uciekł. Zamiast tego podbiegł do niego i zamerdał ogonem.

Deptał mu po piętach, gdy schodził na dół. Juliette przygotowała wielki talerz tostów z serem. Zrobiła też zupę pomidorową z puszki oraz zaparzyła kawę. Jej synek leżał w foteliku na blacie. Marty po raz kolejny zauważył, że ten mały człowieczek jest prawie zawsze zadowolony. Cheyenne była grymaszącym dzieckiem. Pamiętał, jak dyżurował przy niej na zmianę z Lorą, gdy nie chciała spać i trzeba ją było nosić na rękach.

– Jak się zachowywała Cheyenne? – zapytał szorstko.

Pytanie wywołało uśmiech na jej twarzy.

– Wspaniale – powiedziała. – Całe przedpołudnie budowałyśmy domy z klocków i bawiłyśmy się lalkami.

Podeszła do drzwi prowadzących do salonu, zawołała Cheyenne, a potem usiadła przy stole naprzeciwko Marty'ego. Do kuchni wpadła jego córka.

– Cześć, tatusiu! – Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. – Juliette i ja bawiłyśmy się całe rano.

– To super.

Pocałował ją i posadził przy stole.

– I karmiłam dziecko.

Jej mała twarzyczka promieniała. Wiedział, że dziewczynka czeka na jakiś komentarz, ale nie był w stanie wydusić z siebie więcej niż:

– To dobrze.

Spojrzał w stronę fotelika, nadal odwróconego do niego tyłem. Dobrze, że chłopczyk jest taki cichy. Łatwiej było udawać, że go nie ma.

– Co to? – Cheyenne podejrzliwie obwąchiwała zupę pomidorową. – Nie lubię tego.

– Zupa pomidorowa – wyjaśniła Juliette. – Zrobiłam też tosty. Lubisz

ser?

Cheyenne kiwnęła głową.

– Ale tej zupy nie będę jadła.

Dziewczynka pochłonęła dwa tosty, nim on uporał się z jednym. Następnie obwieściła, że idzie się bawić. Nie miał ochoty się kłócić, więc tylko kiwnął głową. Cheyenne wybiegła.

– Możesz odejść od stołu! – zawołała za nią Juliette.

– Przykro mi – powiedział zmieszany. – Jej zachowanie przy stole wymaga trochę pracy.

– Zgadza się. – Juliette spojrzała na niego ponad stołem. – Co z nią robiłeś... przedtem?

– Cokolwiek – wyjaśnił. – Matka i siostra Lory, Eliza, zabierały ją do siebie po jednym dniu w tygodniu. Silver też tak robi, odkąd się pobrali z Deckiem. Czasem wynajmowałem opiekunkę. Zdarzało się również, że zajmowała się nią żona któregoś z moich pomocników. Resztę czasu spędzała ze mną.

– Będzie jej tego brakowało?

– Na pewno nie. Nie cierpiała tego ciągnięcia to tu, to tam. Jeśli będzie chciała, może od czasu do czasu odwiedzić babkę i ciotkę. Na pewno przyda ci się czasem przerwa.

Juliette wskazała na żywioł szalejący za oknem.

– Zrobiło się naprawdę zimno.

– Zapowiadają, że ma być mroźno przez jakiś czas. – Pokręcił głową. – Muszę jeszcze dzisiaj wyjść.

– A czy to nie jest niebezpieczne?

– Nie potrafił powstrzymać uśmiechu, który drgał mu w kącikach ust.

– Gdybym przestał robić wszystko, co jest niebezpieczne, nie miałbym po co wychodzić z domu.

– A co musisz zrobić?

– Kiedy śnieg robi się zbyt głęboki i bydło nie jest w stanie dostać się do trawy, karmimy je lucerną i ciastem.

– Ciastem?

– Nie urodzinowym. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – To karma uzupełniająca.

Wyglądała na zatroskaną, ale się nie dopytywał dlaczego. Wskazał na pudła nadal stojące w kuchni.

– Zamierzasz skończyć dziś rozpakowywanie?

– Chyba tak. – W jej głosie zabrzmiała niepewność. – Może powinieś zrobić mi listę najpilniejszych rzeczy do zrobienia.

Popatrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

– Czemu? Cały dom domaga się czulej ręki. – Pokręcił głową. – Możesz zacząć od tego, co chcesz, i robić, co ci się podoba. Nie jestem drobiazgowy. Z jednym wyjątkiem: nie lubię niebieskiego.

Spuściła wzrok na chabrowy, wełniany sweter, który założyła do jasnobrązowych spodni.

– Naprawdę?

Roześmiał się.

– Nie chodzi mi o to. W dekoracji domu.

– Aha. To nie ma problemu. Nie potrzebuję niebieskich pokoiów do życia.

– Świetnie.

Ogromnie mu ulżyło. Znowu podniósł na nią wzrok. Niebieski sweter podkreślał kolor jej oczu, kontrastował z jasną cerą i zarumienionymi policzkami. Upięła włosy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie widział ich rozpuszczonych.

Ta myśl prowadziła do następnych. Zrobiło mu się nagle ciasno w dżinsach.

– Ładnie dziś wyglądasz – powiedział.

– Dziękuję.

Jej głos był cichy. Wzrok utkwiała w kubku z kawą. Wziął ją za rękę.

– Przykro mi, że mieliśmy taki kiepski początek. Zarumieniła się.

– Porozmawiamy wieczorem? – zapytał.

Z wyrazu jej oczu domyślił się, że ona wie, iż on chce nie tylko rozmawiać. Chciał dużo, dużo więcej. Nie spuszczał z niej wzroku i czekał na odpowiedź.

A ona cała zeszywniała. Przez chwilę w kuchni panowała absolutna cisza.

– Dobrze – szepnęła.

Jej bliskość działała na niego piorunująco. Wstał i, nie wypuszczając jej ręki, pociągnął ją z krzeselka. Położyła dłonie na jego klatce piersiowej, ale przyciągnął ją blisko do siebie.

Jęknął i pocałował ją. Na początku była zupełnie pasywna. Zmuszał się,

żeby jej nie pospieszać. W końcu odpowiedziała na jego pocałunek. Zarzuciła mu ręce na szyję, muskała skórę na karku, przyprawiając go o drżenie.

Oderwał się od niej.

– Pragnę cię – jęknął.

Schyliła głowę i oparła czoło o jego szeroką pierś. Oddychała tak samo nierówno jak on.

Trzymał ją przez chwilę w ramionach. Uniósł jej brodę i pocałował jeszcze, po czym wypuścił ją z objęć.

– Wrócę za kilka godzin.

Ubrał się ciepło. Nie chciał znowu przemarznąć. Choć teraz był tak rozgrzany, że mógłby wyjść na dwór nago i nawet by tego nie zauważył.

Juliette postanowiła najpierw zabrać się do sprzątnięcia kuchni. Skoro tutaj miała spędzać większość czasu... Myślała, że zrobiła za dużo tostów, ale ku jej wielkiemu zaskoczeniu Marty pochłaniał wszystko, co stawiała przed nim na stole. Zastanawiała się, czy gdyby było tego jeszcze więcej, też wszystko by zjadł.

W całym ciele wciąż czuła mrowienie. Czy jest głupia, że chce z nim spać po tym, co wczoraj między nimi zaszło?

Nie patrzył nigdy na Bobby'ego, nawet gdy Cheyenne o nim mówiła. Jak ma stworzyć rodzinę z człowiekiem, który nie jest w stanie znieść obecności jej syna? Rozumiała powody i ból, jaki musiał czuć, a jednak nie mogła się pogodzić z tym, że ktoś odrzuca jej dziecko. To tak, jakby ktoś odrzucał ją. W pewnym sensie tak właśnie było.

Dookoła przytulnego domu na ranczu hulał wiatr. Teraz doszło do tego również delikatne dzwonięcie kryształków lodu uderzających w szyby. Juliette nigdzie się nie zamierzała wybierać. Miała mnóstwo czasu na zajęcia domowe.

Poszła do salonu, żeby sprawdzić, czy Cheyenne chce „pomóc”. To była sztuczka, która sprawiała, że dziewczynka była tak zainteresowana i zajęta, iż nie stawiała oporu. Znalazła ją leżącą na sofie i pogrążoną w głębokim śnie. Juliette uśmiechnęła się i przykryła ją kocem.

Zaczęła od rzeczy podstawowych. Wyszorowała ściany i podłogę, wrzuciła dywaniki do pralki. Opróżniła lodówkę. Sterty gazet przygotowała do oddania na makulaturę. Umyła blaty szafek i zabrała się do opróżniania

szuflad, mycia ich i układania wszystkiego z powrotem.

Prawie dwie godziny później w kuchennych drzwiach stanęła Cheyenne. Na głowie miała masę splątanych loków.

– Witaj, śpiochu – powiedziała Juliette.

Cheyenne ją zignorowała. Wspięła się na krzeselko i położyła głowę na stole.

Juliette uklękła koło niej. Bardzo chciała wziąć dziewczynkę w ramiona, utulić ją, ale niemal widziała ostre kolce gotowe do ataku.

– Cheyenne?

Dziewczynka przechyliła głowę tak, że patrzyła teraz prosto na Juliette.

– Pomyślałam sobie, że ty i ja mogłybyśmy robić codziennie coś wyjątkowego, kiedy Bobby śpi. Na co masz ochotę dzisiaj?

Cheyenne zastanawiała się nad odpowiedzią przez jakąś minutę. W końcu wyprostowała się i królewskim gestem wyciągnęła ramiona do uścisku. Juliette ledwo zdusiła śmiech. Otoczyła kruche ciało ramionami. Dziewczynka przywarła do niej ciasno. Juliette poczuła łzy w oczach. Nagle zaczęło jej bardzo zależeć na tym, by odmienić życie tego dziecka, by stworzyć jej normalne dzieciństwo i dać jej całą miłość, jaką miała.

– Chcę piec ciasteczka – powiedziała wreszcie Cheyenne.

Rozdział 5

Reszta popołudnia minęła zadziwiająco gładko. Upiekły ciasteczka z masłem orzechowym i płatkami owsianymi. Cheyenne pomagała przez chwilę, a potem zajęła się zabawą z Inkym, któremu jednak szybko się znudziło bycie ofiarą zawiniętą w koc i wepchniętą pod kanapę. Następnie dziewczynka zaczęła lepić z plasteliny. Siedziała przy kuchennym stole, podczas gdy Juliette zajęta była sprzątaniami. Bobby się obudził i głośno domagał butelki. Juliette pozwoliła Cheyenne go nakarmić. Chłopczyka najwyraźniej zafascynowała nowa, duża siostra, bo wodził za nią swoimi wielkimi, niebieskimi oczami, a kiedy do niego mówiła, wiercił się i uśmiechał.

Juliette włożyła dywaniki do suszarki, a do pralki załadowała zasłony, obrus i wszystkie ściereczki, na jakie się natknęła. Do piątej uporała się z porządkami wszędzie, poza wielką spiżarnią. Wiedziała już, co gdzie jest. Pomieszczenie było teraz trochę bardziej „jej” kuchnią.

Nie była pewna, na którą ma przygotować Marty'emu kolację. Rozmroziła pieczeń, obłożyła ją marchewkami oraz ziemniakami i wstawiła do piekarnika. Przygotowała ciasto na biszkopty, ale wstrzymała się z pieczeniem do jego powrotu. Byłyby gotowe w ciągu kilku minut. O wpół do siódmej Cheyenne wpadła w buńczuczny nastrój. Juliette uznała, że lepiej będzie, jeśli one już zjedzą, a Marty dostanie swoją porcję po powrocie. Co on sobie wyobraża, że każe małemu dziecku tak długo czekać na posiłek? Odpowiedź na to pytanie była prosta. Prawdopodobnie w ogóle o tym nie myśli. Zaangażował ją do opieki nad dzieckiem i domem, więc więcej czasu mógł poświęcać pracy na ranchu. Pomyślała jednak, że będzie się musiał przyzwyczaić do informowania jej o tym, kiedy zamierza wrócić.

Kolacja tak bardzo poprawiła nastrój Cheyenne, że było to aż niewiarygodne. Juliette postanowiła następnego dnia po południu dać dziecku coś do przegryzienia. Bobby był uszczęśliwiony, jeśli mógł często i regularnie zjeść i się przespać. Prawdopodobnie ta zasada odnosiła się również do Cheyenne.

Zabrała dzieci do łazienki na piętro i zrobiła kąpiel. Cały czas nasłuchiwała powrotu Marty'ego, ale się nie pojawiał. Kiedy Cheyenne siedziała w wannie, Juliette wykapała też Bobby'ego w małej wanience

wstawionej do umywalki, a następnie nakarmiła go z butelki. Nim dziewczynka wytarła się ręcznikiem i ubrała w piżamę, Bobby zdążył zasnąć kamiennym snem, więc ułożyła go w łóżeczku na noc. Cheyenne również opadały już powieki, jednak Juliette podejrzewała, że gdyby zaproponowała jej pójście do łóżka, spotkałaby się z silnym oporem. Zamiast tego zapytała więc, czy mogłaby poczytać kilka bajek z książek dziewczynki.

Nim przebrnęła przez dwie, dziewczynka zapadła w głęboki sen. Juliette ułożyła ją na łóżku i otuliła kołdrą. Kiedy to robiła, do jej uszu dotarło skrzypnięcie tylnych drzwi i warknięcie Inky'ego. Przez chwilę jeszcze zwlekała, ale w końcu zeszła na dół do swojego męża.

Z ronda kapelusza Marty'ego zwisały sople lodu. Był pokryty bielą od stóp do głów. Jęknął, zsuwając rękawice, zaklął cicho pod nosem. Podbiegła do niego i zaczęła rozpinąć mu kurtkę. Na pewno miał tak zmarznięte ręce, że stanowiłoby to dla niego problem. Zdjął kapelusz, odwiesił go na hak. Juliette ściągnęła mu kominiarkę. Białe plamy dookoła oczu i nosa bardzo ją zaniepokoiły.

Zdusiła jednak słowa krytyki. Robił to wiele razy przed jej pojawieniem się na scenie, więc na pewno wiedział, jak długo może przebywać na mrozie bez niebezpieczeństwa odmrożeń. Oparł się o ścianę i wskazał na buty.

– Czy mogłabyś... ?

Kiwnęła głową. Uniósł jedną nogę, a ona uklękła obok i całkiem łatwo ściągnęła mu jeden but. Z drugim poszło trochę trudniej, ale w końcu też się udało. Marty zamrugał i zrobił kilka chwiejnych kroków.

– Czuję się tak, jakbym miał dwie kłody drewna zamiast stóp.

Juliette wzięła go pod ramię.

– Może będzie ci łatwiej, jeśli się na mnie oprzesz?

Otoczył ją ramieniem.

– Dzięki. – Rozejrzał się dookoła, kiedy szli w kierunku stołu. – Gdzie Cheyenne? I chłopiec?

Choć ostatnie słowo powiedział zupełnie machinalnie, uznała, że lepiej to zlekceważyć.

– Śpią. Czekałam z kolacją tak długo, jak mogłam, ale uznałam, że dla obojga ważne jest, żeby jedli o stałych porach.

Marty się skrzywił.

– Do Ucha, powinienem był do ciebie zadzwonić i powiedzieć, żebyś na mnie nie czekała. Przepraszam. Jedna ze starszych krów miała bardzo trudny

poród. Zupełnie zapomniałem o czasie.

Juliette nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie zrobił tego specjalnie, po prostu zapomniał ją zawiadomić!

– Nic się nie stało. Chociaż na przyszłość byłabym ci wdzięczna za telefon w takiej sytuacji.

Spojrzał na nią. Na jego twarzy odmalowała się obawa.

– Czy Cheyenne dała ci się dzisiaj we znaki?

Dotyk jego ramienia sprawiał, że z jej ciałem zaczynały się dziać dziwne rzeczy, ale zmusiła się do skupienia uwagi na jego pytaniu.

– Nie. Całkiem dobrze się dogadywałyśmy. Była troszkę drażliwa przed kolacją, ale chyba dlatego, że była głodna.

Kiwnął głową. Niemal fizycznie odczuła jego ulgę.

– To dobrze.

Nie powiedział nic więcej, aż weszli na piętro. Kiedy dotarli pod drzwi sypialni, chciała go zostawić, ale ją przytrzymał.

– Chodź, porozmawiamy, gdy będę się przebierał.

Zawahała się, ale tak naprawdę nie było powodu się opierać. Szczerze mówiąc, nie potrafiła nawet powiedzieć, czemu się w ogóle opiera. W końcu była jego żoną. Więc poszła za nim i usiadła po turecku na łóżku, a on tymczasem wyciągnął z szafy suche ubrania. Inky wskoczył za nią i rozłożył się obok niej. Wstrzymała oddech. Była pewna, że Marty zaprotestuje, jednak nawet jeśli zauważył psa, nic nie powiedział.

To było dziwne uczucie: była razem z nim w sypialni. Znowu obudziły się motyle i grasowały jej w żołądku. Zaczął rozpinać koszulę, ale wciąż miał sztywne palce. Zsunęła się z łóżka i podeszła do niego.

– Pomóc ci?

– Dzięki.

Opuścił ręce i stał cicho, podczas gdy ona zaczęła rozpinać od góry koszulę.

Był od niej dużo wyższy, nawet boso, więc guziki miała właściwie przed oczami. Motyle w żołądku szalały. Ręce zaczęły się jej trząść. Nie była w stanie podnieść na niego oczu. W pokoju panowała cisza, przerywana jedynie ich oddechami.

Pobudzenie sprawiło, że żołądek zwinął się jej w ciasny węzeł, a puls przyspieszył. Miała wrażenie, że przez jej ciało przetacza się jakaś silna, góraska rzeka. Wzięła głęboki wdech, próbując uspokoić rozszalałe nerwy.

Powtarzała sobie, że musi przestać się zachowywać jak niedoświadczona dziewczica. Pomagała tylko mężowi, gdy nie mógł sobie poradzić sam.

Rozpinała guzik po guziku, aż dotarła do paska. Zawahała się, po czym rozpięła go i wysunęła ze szlufek. Pomógł jej i wyciągnął koszulę ze spodni. Odpięła kilka ostatnich guzików. Próbowwała nie zwracać uwagi na muskularne, męskie ciało.

Oddychał z coraz większym trudem. Bez słowa uniósł nadgarstki, a ona rozpięła mu mankiety. Następnie odsunęła się o krok do tyłu, a on zrzucił z siebie koszulę. Pod spodem miał granatowy podkoszulek, który szybko z siebie zdjął.

Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu, w stronę drzwi. Nagle ogarnęła ją fala kobiecej słabości. Potrzeba ucieczki była przemożna, lecz gdy spojrzała w jego niebieskie oczy, zastygła. Gorącym spojrzeniem omiółł jej całe ciało, zatrzymał się na krągłościach biustu i bioder. Podszedł do niej i wyszeptał:

– Juliette...

– Marty, poczekaj.

Nawet jeśli ją usłyszał, nie dał tego po sobie poznać. Położyła dłonie na jego klatce piersiowej. Kiedy ją pocałował, nie była w stanie myśleć o niczym innym. Liczyła się tylko jego obecność i miłość, która z niego emanowała. Kochała tego mężczyznę, swojego męża, o którym musiała się jeszcze tyle dowiedzieć.

Jego usta były gorące, gwałtowne i wymagające. Otoczył ją ramionami i przyciągnął mocno do siebie. Juliette westchnęła. W odpowiedzi na to przytulił ją do siebie jeszcze ciaśniej. Teraz już się nie opierała. Odpowiedziała na jego pocałunek z całym zaangażowaniem. Zarzuciła mu ręce na szyję, zanurzyła palce we włosach. Czułymi gestami badała kształt jego głowy.

Marty zsunął dłoń po jej plecach i zaczął pieścić pośladki. Juliette jęknęła.

– Pragnę cię – wykrztusił z siebie. – Teraz.

– Drzwi... – szepnęła.

Oderwał się od niej. Dwoma krokami dotarł do drzwi, otworzył je szerzej i spojrzał na Inky'ego.

– Wychodź – powiedział rozkazująco.

Kiedy tylko pies zniknął za drzwiami, zamknął je i zaraz znowu był obok niej. Pociągnął ją za sobą w stronę łóżka. Jednym ruchem zdarł kapek, po

czym znowu się do niej odwrócił. Jego palce drżały, gdy duże dłonie wędrowały po jej ciele. Zdjął z niej sweter i golf, który miała pod spodem.

Zamarł. Owionął ją żarłocznym spojrzeniem, a ona nagle miała wrażenie, że w pokoju zabrakło powietrza. Wzięła głęboki wdech. Marty nie odrywał wzroku od jej biustu, ukrytego jedynie pod koronkowym, niebieskim stanikiem.

Zaśmiał się nagle i stwierdził:

– Chyba zmienię zdanie na temat błękitu.

Następnie położył jej dłonie na ramionach. Zadrżała. Jego palce wciąż były lodowato zimne.

Przyciągnął ją znowu do siebie. Po chwili przestała zauważać chłód.

Wziął jej dłonie i położył je sobie na guzikach spodni.

– Pomóż mi – powiedział.

Rozpięła spodnie, po czym zrobiła to samo ze swoimi. Po chwili oboje pozbyli się spodni i skarpetek.

Kiedy Marty znowu podniósł wzrok, do uszu Juliette dotarł dźwięk z trudem wciąganego do płuc powietrza. Była zadowolona, że włożyła stringi stanowiące komplet ze stanikiem.

Marty przełknął ślinę. Patrzyła, jak porusza się jego opalona grdyka.

– Juliette – powiedział chrapliwym tonem. – Dostanę przez ciebie ataku serca. – Położył swoje zziębnięte dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie. – Czy kupiłaś to w swoim sklepie?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się, całując go w pierś. Był najtwardszym mężczyzną, jakiego знаła, w każdym sensie tego słowa. Miał wyjątkowo muskularne ramiona i plecy. Klatka piersiowa charakteryzowała nieustępliwego człowieka. Pokrywały ją ciemne włosy, które niżej schodziły na płaski brzuch i mocne uda. Pomyślała, że jest jak istota ze snu, jak wymarzony kochanek każdej kobiety.

I należał do niej.

Leżała na nim. Otulała go sobą niczym koc. Dłonie Marty'ego wędrowały po jej plecach. Nagle zakrztusił się ze śmiechu.

– Co cię tak bawi?

Ziewnęła. Była śpiąca.

– Już mi nie jest zimno – powiedział. – Muszę zapamiętać tę metodę. Jesteś lepsza niż termofor.

– Bardzo ci dziękuję – odparła.

Była rozluźniona. Mimo że podświadomie pragnęła również intymnej rozmowy i szeptanych wyznań, powtarzała sobie, że nie powinna na to liczyć. Była dla niego tylko ciepłym ciałem, matko-gospodynią-kochanką w jednym.

Powietrze w pokoju nagle zrobiło się jakby chłodniejsze. Juliette przeszył dreszcz. Marty otulił ich oboje kołdrą. Wciąż nie przestawał pieścić jej pleców i pośladków, ale przestała już odczuwać wielką przyjemność. Leżała na nim z ciężkim sercem.

– Wszystko w porządku? – zapytał niepewnym głosem. – Jesteś taka drobna i delikatna, a ja...

– Nic mi nie jest.

Bez ostrzeżenia przetoczył się tak, że teraz ona znalazła się pod nim. Ujął jej twarz w dłonie, tak że nie mogła jej odwrócić. Zamknęła oczy.

– O co chodzi?

– O nic.

Poza tym, że cię kocham, dokończyła w myślach.

– Otwórz oczy.

Zrobiła to niechętnie. Będzie musiała pamiętać o tym, żeby na przyszłość zachowywać ostrożność. Zadziwiająco łatwo wychwytywał jej nastroje.

– Juliette... – Zawahał się. – Ja...

Nagle do jej uszu dotarł płacz dziecka. Bobby. Jeszcze nie zawodził, ale wiedziała, że się obudził. Natychmiast zeszywniała i zaczęła się spod niego wyslizgiwać, ale ją przytrzymał.

– Dokąd idziesz?

– Bobby się obudził – powiedziała. – Jest głodny. Uścisk Marty’ego zelżał dopiero po dłuższej chwili. Przez moment bała się, że nie pozwoli jej iść do dziecka. Wreszcie jednak zabrał rękę.

– Więc idź.

Jego ton przypominał nadąsane dziecko.

– Co chciałeś powiedzieć? – zapytała.

– Nic. – Usiadł, przeczesał włosy palcami i zacisnął je na uszach, gdy płacz Bobby’ego przybrał na sile. – Czy mogłabyś uciszyć to dziecko?

– Marty, to niemowlę. On nie rozumie...

– Przecież powiedziałem, żebyś do niego poszła. – Był teraz wyraźnie

poirytowany. – Nie próbuję cię zatrzymać.

Ubrała się pośpiesznie, zachowując milczenie. Walczyła ze łzami. Nagle przypomniała sobie o kolacji.

– Talerz z twoim jedzeniem włożyłam do piekarnika – poinformowała go, po czym wyszła z pokoju.

Z jednej strony chciało się jej krzyczeć z powodu jego bezduszności, ale jakoś nie mogła. Marty był dobrym człowiekiem. Zachowanie w stosunku do jej syna tylko udawało, jak bardzo był zraniony. Czy to kiedykolwiek stanie się dla niego łatwiejsze? Zrobiłaby wszystko, żeby mu w tym pomóc. Wszystko, poza rezygnacją z Bobby'ego.

A to, pomyślała, była prawdopodobnie jedyna rzecz, która mogłaby zlikwidować napięcie, jakie między nimi panowało.

Gdyby wiedział, że ma dziecko, nigdy by się z nią nie ożenił.

Już w chwili, gdy to mówił w duchu, wiedział, że to nieprawda. Prawdopodobnie zachowałby się tak samo, nawet gdyby miała dwójkę dzieci, bo bardzo jej pragnął. Także i teraz, leżąc w łóżku, w którym przed chwilą była razem z nim, był znowu gotowy. Wystarczyła sama myśl ojej drobnym, idealnym ciele, różowych sutkach, zadziwiająco silnych nogach...

Zaklął i wstał z łóżka. Poszedł do łazienki. Pożądał jej aż do bólu. Co ma, do licha, z tym zrobić?

Wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół zjeść kolację.

Juliette była już w kuchni. Jedzenie czekało na niego podgrzane. Mruknął podziękowanie. Bobby był w swoim foteliku. Mimo że Juliette taktownie ustawiła go tyłem do niego, od czasu do czasu widział małą rączkę czy nóżkę. Nie mógł się zmusić do ignorowania dziecka. Co rusz spoglądał w tamtą stronę. Czasami chłopczykowi wrywało się piśnicie albo gaworzył. Marty nie był w stanie nie wzdygać się na te dźwięki.

Natychmiast gdy skończył jedzenie, włożył naczynia do zlewu i wyszedł z kuchni.

– Będę w gabinecie.

Przechodząc przez salon, musiał uważać, żeby nie wdepnąć w zabawki albo gry rozłożone na podłodze. Inky leżał na kanapie na samym środku pledu, jakby do niego właśnie należał. Kiedy Lora żyła, dom nigdy tak nie wyglądał. A potem on starał się ze wszystkich sił, choć kiepsko mu to wychodziło, żeby utrzymać jako taki poziom. Liczył na to, że po pojawieniu

się Juliette sytuacja się poprawi.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że Juliette stoi zaraz za nim.

– Ona jest wspaniała – powiedziała, a do niego dotarło, że mówi o Cheyenne. – I bardzo, bardzo bystra. Okazuje się, że najlepszym sposobem na nią jest skutecznie ją czymś zająć.

– To miejsce wygląda koszmarnie – powiedział, zupełnie ignorując jej słowa. Wskazał na dziecięcy chaos w salonie. – Ożeniłem się z tobą, żebyś zmieniła to na lepsze, a nie na gorsze.

Z jej twarzy odpłynęła nagle cała krew. Jej wielkie oczy pociemniały. Widział, że mocno ją zranił.

Poczuł się mały i podły. Położył jej rękę na ramieniu.

– Przepraszam – zreflektował się. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Uniosła brwi. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, nie był w stanie nic wyczytać z jej oczu. Nie powiedziała ani słowa, tylko wysunęła ramię z jego uścisku, po czym uklękła i zaczęła zbierać zabawki. Zupełnie nie zwracała na niego uwagi. Zniknął w gabinecie.

Dopiero gdy wrócił do kuchni po dolewkę kawy, zauważył, że coś się zmieniło. Teraz to do niego dotarło. Kuchnia była nieskazitelnie czysta. Zasłony i dywaniki wyprano; na blatach nie stało nic niepotrzebnego, nie wliczając dziecięcego fotelika; szafki i lodówka nie były zapchane zbędnymi rzeczami; podłoga straciła swoją przybrudzoną szarość i aż lśniła – Rany – powiedział. – Nie zauważyłem tego wcześniej. Musiałaś pracować tu cały dzień.

– Nie zaniedbywałam też twojej córki.

Z tonu jej odpowiedzi domyślił się, że wciąż jest na niego wściekła za nietaktowne komentarze.

– Nie podejrzewałem cię o to.

Juliette nic na to nie powiedziała. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Wreszcie przerwała je, ale nie w osobistym tonie, jakiego chciał.

– Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Oczywiście. To twój dom.

– Chodzi o rozmowę zamiejscową.

– To bez znaczenia. Chyba że codziennie zamierzasz godzinami rozmawiać z Japonią. Dzwon, ile chcesz.

Umierał z ciekawości, do kogo zamierza zadzwonić. Do szaleństwa

doprowadzała go myśl o tym, że tak mało ją zna, iż nie wie nawet, do kogo może dzwonić. Jednak poszedł do salonu i włączył telewizor. Chciał zapewnić jej choć odrobinę prywatności.

A Juliette nic nie powiedziała, tylko podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Przez chwilę czekała na odpowiedź. Marty odszukał pilota i ściszył trochę telewizor.

– Witaj, Millicent. Tu Juliette.

Ciekaw był, czy Juliette zdaje sobie sprawę z tego, że skrzywiła się, kiedy ta Millicent podniosła słuchawkę. Najwyraźniej nie należała do ulubieńców jego żony. W takim razie, dlaczego do niej dzwoniła?

Kimkolwiek była Millicent, miała dużo do powiedzenia. Juliette słuchała, kiwała albo kręciła głową. Wreszcie udało się jej wtrącić i coś powiedzieć:

– Nie wracam do Kalifornii, Millicent. W tym tygodniu wyszłam za mąż za mężczyznę, który mieszka w Dakocie Południowej.

Przez chwilę trzymała słuchawkę z dala od ucha, po czym wyjaśniała dalej:

– To wdowiec z małą córeczką. Ma ranczo. Jest w stanie utrzymać mnie i Bobby’ego. Nie martw się, oczywiście, że Bobby przyjedzie cię odwiedzić. Kiedy będzie starszy, będzie mógł przyjeżdżać do ciebie na wakacje.

Juliette zmarszczyła brwi.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie mamy tu pokoju gościnnego.

Kiepskie kłamstwo. Co prawda jej dziecko spało w pokoju, który kiedyś należał do Decka, ale było tam też wielkie łóżko.

– Może za miesiąc lub dwa – ciągnęła dalej. – Chcę się trochę zadomowić, zanim zacznę wyjeżdżać. – Słuchała przez chwilę. – Nie! Nic nie wskórasz. Małżeństwo zostało zawarte zgodnie z prawem. To jest teraz rodzina moja i Bobby’ego. Nigdy nie zamierzałam wykluczać cię z jego życia, ale przyjmij do wiadomości, że nie będziemy nigdy mieszkać z tobą. Mieszkamy tutaj.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że zerwał się na równe nogi. Dotarło to do niego dopiero w chwili, gdy odłożyła słuchawkę. Stał przed nią.

– Co to, do diabła, było?

Juliette wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Położył jej dłonie na ramionach i zaczął delikatnie masować. Musiała odpowiedzieć mu na pytania, które go nękały.

– Moja teściowa – odparła, najwyraźniej zapominając o tym, że była na niego zła. – Moja pierwsza teściowa, babka Bobby’ego. Nie jest ze mnie... zadowolona.

– Groziła ci?

Jego głos był twardy. Nie pozwoli, by ktoś straszył jego żonę.

– Nie o to jej chodziło. Może trochę mnie szantażowała, ale tylko dlatego, że tak się zdenerwowała. Mój mąż i ja mieszkaliśmy razem z nią. Po śmierci Roba wzięła stery w swoje ręce. To ona podejmowała wszystkie decyzje. Byłam w ciąży. Byłam samotna, a ona robiła wrażenie bardzo miłej. I taka jest, w głębi serca. Obie tęskniłyśmy za Robem. To nas łączyło. A potem urodził się Bobby. Millicent była podekscytowana – Juliette westchnęła i pomasowała sobie napięte mięśnie karku. – Ona głośno dzieli się swoimi opiniami. Miała coś do powiedzenia w każdej kwestii dotyczącej mojego syna. Stosunki między nami się pogorszyły. Miałam wrażenie, że ona chce zastąpić sobie Roba Bobbym. Nie zamierzałam na to pozwolić. Niewiele brakowało, a złamałaby Roba. Ożenił się ze mną, nie konsultując tego z nią. W przeciwnym wypadku prawdopodobnie by się nie zgodziła.

– To jakaś maniaczka – zauważył Marty.

– Tak. I żał mi jej – stwierdziła Juliette. – Mąż zostawił ją, gdy Rob był w szkole podstawowej. Potem Rob zmarł – w wieku dwudziestu ośmiu lat z powodu źle zdiagnozowanych kłopotów z sercem. Była załamana. Trudno ją winić za to, że chciała zatrzymać Bobby’ego przy sobie.

– A więc dlatego tak się paliłaś do małżeństwa ze mną. Zastanawiałem się...

Nie przestał masować jej karku, ale Juliette ześlizgnęła się z taboretu, na którym siedziała, i odeszła na bok, z dala od jego dotyku.

– Ona ma mnóstwo pieniędzy – powiedziała cicho. – Załatwiła, żeby wyrzuciono mnie raz z pracy. Nie zawahałaby się przed niczym, żeby zmusić mnie do powrotu do domu.

Boże. To takie melodramatyczne. Juliette najwyraźniej wierzyła w to, co mówiła.

– Co jeszcze zrobiła?

– Nic takiego. W jednej rozmowie telefonicznej zasugerowała, że jeśli nie wrócę, załatwi odebranie mi praw rodzicielskich. Myślę, że mogła nawet próbować to zrealizować. – Spojrzała na niego. Wyglądała na przybitą. – Wtedy natknęłam się na twoje ogłoszenie. Nie mogłam ryzykować, że się ze

mną nie ożenisz, jeśli się dowiesz o Bobbym.

A więc o to chodziło. Tego kawałka układanki mu brakowało.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział. – Chodźmy do łóżka.

Przez chwilę patrzyła na niego, ale w końcu kiwnęła głową i poszła najpierw do kuchni. Kiedy stanęła w progu, trzymała na rękach Bobby'ego.

– Tylko wyprowadzę psa – powiedziała i szybko zniknęła.

Rozdział 6

Drżącymi rękami odchyliła kołdrę i wsunęła się pod nią. Marty wskoczył do łóżka od drugiej strony, wyłączył lampkę na stoliku nocnym.

Przez chwilę w sypialni panowała cisza. Męcząca cisza. Juliette częściowo oczekiwała, że Marty weźmie ją w ramiona i sprawi, że zapomni o powodach do płaczu.

Ale on tak nie zrobił.

Po bardzo długiej chwili Marty odchrząknął.

– Chciałbym, żeby było inaczej. Chciałbym móc pokochać twojego syna. Ale kiedy on płacze, wracają wspomnienia... – powiedział łamiącym się głosem. – Nie mogę tego znieść.

– Ciii...

Zareagowała instynktownie, porażona głębią jego cierpienia. Wzięła go za rękę pod kołdrę i uściśnęła ją delikatnie. Prawie się rozpląkała, gdy zamknął jej dłoń w ciasnym, bolesnym uścisku. Wzięła głęboki wdech, przetoczyła się na bok i położyła wolną dłoń na jego szerokiej piersi, na sercu.

– Marty, nie chciałam sprawić ci bólu, Uwierz mi, proszę. Gdybym wiedziała, nie wyszłabym za ciebie.

– Tego się właśnie obawiałem.

Oboje zamilkli. Zatopili się w myślach, których żadne nie było w stanie wypowiedzieć na głos.

– Wyjadę – odezwała się wreszcie Juliette. – Nie ma innego wyjścia.

Słowa padły, a jej serce zamarło. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić wyjazdu stąd, życia z dala od Marty'ego. Miałyby nigdy już nie przeczesywać palcami jego włosów, nigdy się z nim nie kochać?

– Nie. – Dla odmiany jego głos brzmiał mocno i głośno. Szorstko. – Chcę, żebyś została. Cheyenne cię teraz potrzebuje.

Nie powiedział, że on jej potrzebuje, że ją kocha. Wahala się.

– Możesz trzymać go z dala ode mnie – ciągnął Marty. – Jeśli nie muszę na niego patrzeć ani słuchać, jak płacze...

Wiedziała, że to niemożliwe, absurdalne. Jednak tego nie powiedziała. Póki Bobby jest niemowlęciem, to mogłoby się nawet udać. Ale będzie rósł szybko, mniej spał, mówił, raczkował, chodził. Czy Marty zdaje sobie

sprawę z tego, co mówi?

Musi. Przecież jego córeczka przez to wszystko przechodziła. Musiał znać zachowanie takich maluchów. Nie da się ukryć rosnącego dziecka. A gdyby mieli więcej dzieci?

Może do tego czasu zniknąłby smutek i ból, które zżerały Marty'ego. Może zdołałby ją pokochać tak, jak ona kochała jego.

Być może potrzebny jest czas. Jeśli zgodzi się na to, co on może jej dać teraz, i poczeka, aż czas uleczy rany, może nadejdzie dzień, gdy Marty będzie mógł być ojcem dla wszystkich ich dzieci: jego, jej i wspólnych.

– Proszę cię – powiedział, a ona zdała sobie sprawę, że milczała długo, nie odpowiadając na jego apel. – Proszę, nie odchodź ode mnie, aniołku. – Wziął ją w ramiona i przytulił mocno. – Dopiero cię znalazłem i nie chcę tego stracić.

Te słowa sprawiły, że wszystkie jej zastrzeżenia wyparowały. Nie było to wyznanie miłości, ale na tyle tego bliskie, że dała się złapać w sidła, pozwoliła swojej miłości odsunąć wszystkie wątpliwości oraz obawy, które ją prześladowały.

– Nie odejdę od ciebie – szepnęła.

Wyciągnęła się i pocałowała go w policzek. Przetoczył się i położył na niej. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Chcę się kochać ze swoją żoną – powiedział niskim, szorstkim tonem.

Kilka następnych tygodni było wypełnionych pracą. Juliette starała się tak ustawić dzień Bobby'ego, żeby spał niemal zawsze, gdy Marty był w domu. Zdawała sobie sprawę z tego, że również Marty ściśle pilnuje wyznaczonego harmonogramu. Prawdopodobnie dużo bardziej ściśle niż zwykle.

Zdawało się, że układ działa całkiem dobrze. Zaczynała mieć nadzieję. Czas leczy rany, powtarzała sobie w kółko.

Kilka razy spadł duży śnieg. Drogi były nieprzejezdne. Rozmawiała często przez telefon z Silver i Lyn, ale tak naprawdę cieszyła się ze swojego towarzyskiego osamotnienia. Zaczęła uczyć Cheyenne alfabetu. Gdy dzieci drzemały, szukała w Internecie stron związanych z wczesną edukacją i wychowaniem dzieci. Zamówiła nawet kilka książek. Marty trochę się z niej naśmiewał, gdy przyszły pocztą, ale, jak zauważyła, sam do nich zaglądał wieczorami. Cheyenne czasem pokazywała rogi. Juliette zaczęła stosować

metodę Marty'ego: odsyłała dziewczynkę do pokoju, który wolno jej było opuścić, dopiero gdy się uspokoiła i przeprosiła. Wybuchy Cheyenne fascynowały Bobby'ego. Jego oczka się rozszerzały, a buzia układała się w literę „O”, co bardzo rozśmieszało Juliette.

Coraz lepiej i pewniej czuła się w domu. Przeszawiała meble, robiła listy zmian, które planowała przeprowadzić, następnie rozmawiała o nich z Martym. Na ogół się na wszystko zgadzał. Kiedy ociepli się na tyle, że będzie można otworzyć okna, zamierzała pomalować szafki w kuchni i pomieszczeniu gospodarczym.

Pewnego dnia pod koniec stycznia pojechała z dziećmi odwiedzić Silver. Lyn również się zjawiała. Pod jej bardziej fachowym okiem kobiety przeglądały razem katalog nasion i roślin. W końcu zbliżała się wiosna. Silver mogła urodzić w każdej chwili. Deck zabronił jej wychodzić na zewnątrz z obawy przed poślizgnięciem się na zamarznętej, oblodzonej ziemi.

– I jak wam się układa? – Lyn spojrzała na Juliette pochyloną nad filiżanką ziołowej herbaty.

Juliette zwlekała przez chwilę z odpowiedzią.

– To zależy od tego, o której godzinie zadałabyś mi to pytanie. – Spojrzała na nowe przyjaciółki, obie wyraźnie zatroskane, i westchnęła. – Marty ignoruje Bobby'ego. Rozmawialiśmy o tym. To dla niego bardzo trudne... – Przerwała, bo gardło zatamowały jej łzy.

– Och, skarbie. – Silver wzięła ją za rękę. – Daj mu trochę czasu.

– Sama sobie to w kółko powtarzam – odparła. – Ale nie wiem, czy on się kiedykolwiek przyzwyczai do obecności chłopca w swoim domu. Powiedziałam mu, że wyjadę...

Łzy potoczyły się jej po policzkach. Lyn wstała i wyszła z pokoju, po chwili wróciła i postawiła na stole pudełko z chusteczkami higienicznymi.

– Kochasz go, prawda? – zapytała cicho, siadając z powrotem na swoim miejscu.

Juliette wydmuchała nos i zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Aż tak to widać?

– Nie umknie to kobietom, które same szaleją za swoimi kowbojami – powiedziała Silver. – Czy on o tym wie?

Juliette pokręciła głową.

– Zawarliśmy umowę. Miłość nie wchodzi w jej zakres.

– Zaraz, zaraz. – Lyn pokręciła głową. – Widziałam, jak cię całował. Nie w mówisz mi, że nic do ciebie nie czuje.

Juliette się skrzywiła.

– Tylko poniżej pasa.

Trzy kobiety parsknęły śmiechem. Kiedy się uspokoiły, Silver wróciła do rozmowy:

– Jak zareagował na twoją propozycję wyjazdu?

– Powiedział, że nie chce. – Miło było wymówić to na głos. – Powiedział... że nie chce stracić tego, co właśnie odnalazł.

– Hm.

Brzmiało to wymijająco, ale pełen satysfakcji uśmiech Silver i znaczące spojrzenie, jakie posłała Lyn, zdradzał, że była zadowolona z odpowiedzi.

– Daj mu trochę czasu – powiedziała jeszcze.

Juliette wróciła do domu obarczona katalogami i ulubionym przepisem Silver na zapiekankę z mięsa i ziemniaków. Juliette bardzo lubiła gotować i piec, a teraz miała dla kogo. Marty był zachwycony. Któregoś razu przyłapała go na rozmowie telefonicznej z Deckiem, w czasie której przechwalał się jej kuchnią i mówił, że będzie musiał zacząć uważać na to, ile je.

Kiedy położyła dzieci spać, kochali się jak każdego wieczoru. Zastanawiała się nad tym, czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę i powie Marty'emu, jak bardzo uwielbia te chwile, kiedy brał ją w ramiona. Później spała zaspokojona z głową na jego ramieniu, wtulona w niego całym ciałem.

Jednak nie tylko nocą pokazywał, że jej pragnie. Zdarzało mu się zjawiać w domu, gdy spodziewał się, że dzieci śpią. Zabrał ją raz do łazienki przy pomieszczeniu gospodarczym, gdzie wzięli razem niezapomniany prysznic. Kiedy indziej kochali się w spiżarni, gdzie przyłapał ją na grzebaniu w słoikach.

Tego dnia zapomnieli się zabezpieczyć. Zastanawiała się, czy Marty miał tego świadomość i czy wiedział, jak bardzo ryzykowali.

Z wszystkich rzeczy, które poszły nie tak, najbardziej brakowało jej jego śmiechu. Marty robił wrażenie szczęśliwego człowieka. Pierwszej nocy, kiedy się poznali, pogwizdywał pod nosem. Podczas rozmów telefonicznych droczył się z nią, aż oboje wybuchali śmiechem.

Teraz pogwizdywanie wróciło. Z początkiem lutego wrócił mężczyzna, którego poznała w Rapid City. Śpiewał pod prysznicem. Często błyskał w uśmiechu białymi zębami, w policzkach robiły mu się dołeczki, a czasem, kiedy przychodził mu do głowy jakiś żart, w niebieskich oczach pojawiały się chochlikowate iskierki.

A ona kochała go coraz mocniej.

Tylko dwie rzeczy psuły jej rosnące zadowolenie.

Pierwszą z nich była jej poprzednia teściowa. Millicent dzwoniła na ranczo przynajmniej dwa razy w tygodniu, domagając się powrotu Juliette i Bobby'ego do Kalifornii. Powtarzała, że dziecko powinno wychowywać się w Kalifornii, bo Bóg wie, czego się nauczy w otoczeniu bandy kowbojów. Wracała też prośba o przygotowanie pokoju gościnnego i ustalenie dary jej wizyt.

Pewnego wieczoru w drugim tygodniu lutego Marty wrócił późno. On i dwóch pomocników zajętych było przedwczesnym porodem jednej z krów, która dostała przepukliny.

Cielę przeżyło, ale krowa nie. Zawiózł oseska do Cala, bo jedna z jego krów straciła niedawno swoje cielę. Dobrze przynajmniej, opowiadał później Juliette, że krowa zaakceptowała obcego cielaka.

Juliette pomogła mu zdjąć przemoczone, poplamione krwią ubranie. Nie miała ochoty przyglądać mu się zbyt szczegółowo przed wrzuceniem do pralki. Odwróciła się i zobaczyła Marty'ego zupełnie nagiego. Jego muskularne ciało wyglądało tak, jakby wyszło spod ręki rzeźbiarza. Zabrakło jej tchu w piersiach, gdy prześlizgiwała się wzrokiem po jego szerokiej piersi i płaskim brzuchu, po mocnych udach i silnych nogach.

Patrzył na nią gorącym wzrokiem. Znała to spojrzenie. Kiedykolwiek Marty tak na nią patrzył, robiło się jej miękko w nogach.

Podszedł do niej, stanął tak blisko, że nie mogła nie zauważyć jego podniecenia.

– Czy dzieci już śpią?

Kiwnęła głową i przełknęła z trudem ślinę. Milczała, gdyż nie była pewna, czy mogłaby zaufać swojemu głosowi.

– To dobrze – szepnął, otaczając ją ramionami i przyciągając do siebie. – Pocałuj mnie.

Uniosła głowę i zarzuciła mu ręce na szyję. On tymczasem walczył z guzikami jej koszuli. Uwielbiała słodycz jego pocałunków.

Marty uporał się już z koszulą, a teraz zmagał się z nowymi džinsami, które kupił kilka tygodni temu. Zdjął je z niej tak sprawnie, że niespodziewanie poczuła chłodniejsze powietrze na swojej skórze.

– Zimno tu.

Uśmiechnął się, bez słowa wziął ją na ręce i zaniósł do ciepłej kuchni. Uśmiech jednak zamarł mu na ustach, gdy przesunęła dłonie na jego pośladki.

– Wciąż mi ciebie mało – mruknął, całując jej szyję. – To cholernie krepujące. Deck kilka razy przyłapał mnie na marzeniu na jawie.

Pokrywał teraz pocałunkami jej obojczyki, dekolt, schodził coraz niżej. W końcu zdarł z niej stanik.

Uniósł głowę i omiół wzrokiem jej ciało. Miała wrażenie, że wypala gorącą ścieżkę.

– Codziennie godzinami się zastanawiam nad tym, jaką masz na sobie bieliznę.

Tym razem włożyła stanik z czarnej koronki, lekko podnoszący biust, oraz odpowiednie majteczki. Po raz kolejny dziękowała Bogu za swoją krótką pracę w sklepie z bielizną i za wyprzedaje. Marty po prostu uwielbiał jej bieliznę. Podczas ostatniej wyprawy na zakupy kupił jej nawet gorset w kolorze wina, który miała na sobie od razu tego samego wieczoru. Przez kilka minut.

Przez chwilę w kuchni panowała absolutna cisza. Juliette spodziewała się, że Marty zaraz postawi ją na ziemi, ale ku swojemu miłemu zaskoczeniu stwierdziła, że wciąż trzymając ją na rękach, ruszył w stronę schodów na górę.

– Marty!

Chciała zaprotestować, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Kiedy uniósł głowę, mogła tylko dodać z sennym uśmiechem:

– Cokolwiek rozkażesz, parne. Uśmiechnął się.

– Rozkazuję, żebyśmy poszli do łóżka.

Jednak gdy postawił nogę na pierwszym stopniu, zadzwonił telefon. Marty się zatrzymał. Zaklął. Wrócił do kuchni, nie wypuszczając jej z objęć.

– Lepiej, żeby to była dobra wiadomość – mruknął, sięgając po słuchawkę. – W przeciwnym razie zabiję tego kogoś po drugiej stronie... Lucky Stryke – powiedział do słuchawki.

Juliette widziała, jak nagle jego brwi się zbiegły, a twarz nachmurzyła.

– Nie może podejść do telefonu. Czy coś jej przekazać? – Najwyraźniej jego rozmówca miał bardzo dużo do powiedzenia, bo Marty słuchał go przez długą, pełną napięcia chwilę. W końcu znowu się odezwał. – Niech pani posłucha, Juliette nigdy nie ustąpi pod pani tyrańską presją. Dom jej i Bobby’ego jest teraz tutaj. Jeśli będzie chciała panią zaprosić, to sama podejmie taką decyzję. Ugościmy panią. Lecz jeśli jeszcze choć raz zadzwoni pani tutaj z takim nastawieniem, złożę doniesienie o prześladowaniu i załatwię zakaz dzwonienia tu lub odwiedzania. Czy to jasne?

Juliette słuchała oszołomiona. To musiała być jej była teściowa, Millicent. Serce drgnęło jej z radości, gdy Marty wymówił imię Bobby’ego. Zdarzyło się to pierwszy raz od...

W ogóle po raz pierwszy określił go inaczej niż „dziecko” lub „chłopiec”. Zrobiło się jej jeszcze lżej na duchu na myśl o tym, w jaki sposób jej bronił. Ciekawa była, czy Millicent będzie na tyle rozsądna, by posłuchać jego ostrzeżenia.

Kiedy odłożył słuchawkę, wciąż kręciło się jej w głowie. Ale Marty zachował się tak, jakby w ogóle nic nie zaszło.

– A teraz – powiedział – idziemy, zdaje się, do sypialni?

Kolejnym słabym punktem w jej prawie idealnym życiu był fakt, że Marty nadal unikał jej syna. Przez pierwsze tygodnie nowego roku i ich małżeństwa starannie unikał każdej możliwości bezpośredniego spotkania z Bobbym.

Bronił jej syna przed zakusami Millicent, choć Juliette zaczęła się obawiać, że jego otwarta wrogość mogła prowadzić do kosztownych reperkusji sądowych. Tego dnia jednak nabrała nadziei na to, że Marty zaakceptuje jej syna, choć nic w jego zachowaniu się nie zmieniło.

Pewnego wieczoru pod koniec lutego zdarzyło się jednak coś, co znowu ją zaskoczyło. Kiedy Marty wrócił do domu, właśnie kąpała Cheyenne. Usłyszała, jak wchodził do środka, wcześniej niż zwykle, i zawołała do niego:

– Cześć! Prawie skończyłyśmy. W mikrofalówce jest twoja kolacja.

Szybko uporała się z kąpielą Cheyenne. Obie nie mogły się doczekać spotkania z Martym. Właśnie wycierała włosy dziewczynce, kiedy usłyszała

jego kroki na schodach. Zanim się obejrzała, był już razem z nimi w łazience. Pocałował ją na dzień dobry, ukucnął przy wannie, żeby uściskać córkę, po czym zamarł.

Jak zwykle podczas kąpieli Cheyenne, Bobby leżał w swoim foteliku. Był nakarmiony i przewinięty, więc uśmiechał się od ucha do ucha, kopał nóżkami powietrze i machał rączkami. Próbował bez efektu złapać którąś z zabawek wiszących na poprzeczce nad nim.

Marty miał dziecko niemal na wprost siebie. Nie mógł go ominąć wzrokiem. Juliette również zamarła. Spodziewała się, że jak najszybciej opuści łazienkę, ale tak nie zrobił.

Cheyenne zachichotała i wskazała na przyrodniego braciszka.

– Tatusiu, patrz, Bobby chce to złapać.

Marty wolno kiwnął głową. Spojrzał na chłopca.

– Widzę. – Potem wyciągnął rękę i niepewnie dotknął małej stopki dziecka. – Trudno uwierzyć, że ty też byłaś kiedyś taka mała – powiedział do Cheyenne.

Serce podskoczyło Juliette w piersi. Miała ochotę uściskać Marty'ego. Zamiast tego wstała i wzięła jego córeczkę za rękę. Starła się zachowywać normalnie, jakby nic się nie stało. Wzięła Bobby'ego na ręce i zniosła go na dół. Nakarmiła go jeszcze raz przed snem, tak jak zwykle. Chciało się jej śpiewać z radości.

Napięcie w domu spadło jeszcze bardziej w ostatnim tygodniu lutego. Któregoś dnia Marty, przechodząc przez kuchnię, uniósł fotelik Bobby'ego i przestawił go przodem do pomieszczenia.

– Na pewno już mu się znudziła kuchenna tapeta. – Tylko tyle powiedział, ale uznała to za sygnał, że obecność dziecka nie wywołuje już w nim takiego bólu jak przedtem.

Jej nadzieja rosła.

Pewnego ranka Marty przyniósł do domu oblepionego śniegiem cielaczka, którego znalazł drżącego przy matce. Ocielila się na wzgórzu. Bóg wie, jak długo to małeństwo leżało na dworze? Marty wniósł oseska do pomieszczenia gospodarczego i włożył do wanny z ciepłą wodą.

Cielak, mały byczek, bardzo szybko doszedł do siebie. Rozgrzał się i nim Juliette i Cheyenne zdążyły go wytrzeć, były mokre od stóp do głów. Kiedy Marty przyszedł później, by sprawdzić, jak się ma cielę, byczek biegał już na drżących nóżkach i ryczał za mamą, a Juliette śmiała się razem

z Cheyenne, która siedziała na suszarce i próbowała uspokoić cielaczka.

Rozległ się dzwonek telefonu, więc odruchowo weszła do kuchni.

– Słucham?

– Wody mi odeszły. Jedziemy do szpitala!

To była Silver. Nadszedł jej termin, dlatego wybierała się jutro do Rapid City, gdzie miała czekać na rozwiązanie. Zapowiadano bowiem kolejną burzę śnieżną.

Juliette aż podskoczyła.

– Och, trzymam kciuki! – Potem przypomniała sobie, jaki jest poród. – Będziesz potrzebowała trochę szczęścia.

– Dzięki. – Głos Silver był lekko drwiący. – Skurcze mam jeszcze słabe i nieregularne, ale Deck nie chce ryzykować. Powinien mnie szybko dowieźć na miejsce. Zostanie mu mnóstwo czasu na krążenie pod drzwiami i obgryzanie paznokci.

Odwiesiła telefon i odwróciła się do Marty'ego. Była bardzo podekscytowana.

– Silver zaczęła rodzić. Z odrobiną szczęścia wszystko pójdzie szybko i jeszcze dzisiaj będziesz miał bratanka albo bratanicę.

Uśmiechnęła się do Marty'ego, ale na widok jego miny zamarła.

Obrócił się bez słowa na pięcie i wyszedł z domu. Patrzyła przez okno, jak idzie zwirową ścieżką do stodoły, w której po chwili zniknął.

Jej serce, zawsze wrażliwe, gdy chodziło o niego, teraz aż się ścisnęło. Miała wrażenie, że wyskoczy jej z piersi. Choć nadal unikał Bobby'ego, nie ignorował go już tak jak poprzednio. Nie bywał też ostatnio taki zdenerwowany i wytracony z równowagi.

Jednak jego reakcja na zbliżające się narodziny dziecka brata uzmysłowiła jej, że się oszukuje, że patrzy na świat przez różowe okulary, że nie chce dostrzec jego niemożności zaakceptowania kolejnego dziecka.

Ta świadomość była podwójnie niepokojąca. Od dwóch tygodni uważnie śledziła kalendarz. Wmawiała sobie, że spóźnienie okresu było wyłącznie spowodowane stresem w związku z nowym życiem. Tak, owszem, miało trochę wspólnego z nowym życiem, a konkretnie z pewnym mężczyzną.

Wiedziała nawet, kiedy to się stało. Za każdym razem, gdy wchodziła do spiżarni, drżała od przyjemnych wspomnień dzikiego, gorącego seksu. Wciąż powracał do niej obraz tego popołudnia, gdy się tu kochali. Tylko że teraz rozkoszne wspomnienie zaburzone było troską. Jeśli rzeczywiście była

w ciąży, Marty tego nie zniesie. I co ona zrobi?

Nie mógł otrząsnąć się z paraliżującego strachu, który złapał go w swój uścisk kilka godzin temu. Była już prawie czwarta. Poród Silver trwał niemal pół dnia. Zwykle rzadko się modlił, ale teraz zwrócił się do Boga. Modlił się o to, żeby się jej nic nie stało, żeby wszystko poszło dobrze. Deck tak bardzo jej potrzebował.

A cały czas walczył z obrazami Lory, której krew przesiąkała przez fotele jego samochodu, kiedy wioził ją do Rapid City.

Wiedział, że powinien wrócić do domu, że zachowywał się nie fair, że Juliette się o niego martwiła. Jednak nie potrafił się do tego zmusić. W końcu, kiedy zimowe niebo już zupełnie pociemniało, opuścił sanktuarium, jakim była dla niego stodoła.

Kiedy stanął w drzwiach, opanowało go przytłaczające uczucie beznadziei. Lora potrzebowała jego pomocy. Nie zdołał jej pomóc i zmarła. Rodzenie dzieci to bardzo ryzykowna sprawa. Wiedział to zresztą z własnego, codziennego doświadczenia. Gdyby coś się stało Silver, jego brat mógłby tego nie przeżyć.

Juliette była w kuchni. Nie spojrzała na niego ani nic nie powiedziała. Strach, z jakim wszedł do domu, zamienił się w śmiertelne przerażenie.

– Czy... czy coś wiesz? – wychrypiał.

Podniosła głowę. Uśmiechnęła się.

– Masz bratanicę – powiedziała. – Urodziła się dwadzieścia po drugiej.

Ledwie zdołał wydusić z siebie następne pytanie.

– A... Silver?

– Zadowolona z siebie. – Juliette się roześmiała. – Poszło jak z płatka. Powiedziała, że jutro mogłaby znowu rodzić. – Wzniosła oczy do góry. – Poród Bobby'ego był krótki, ale wszystko dobrze pamiętam. Ja bym tak od razu nie miała ochoty na powtórkę... – Nagle przerwała. – Jadę wieczorem do szpitala. Lyn przyjdzie zająć się dziećmi.

Ulga była tak wielka, że czuł niemal ból. Opadł na krzeselko przy kuchennym stole.

– Dzięki Bogu – mruknął. A potem, gdy dotarło do niego, że naprawdę wszystko poszło dobrze, uśmiechnął się do Juliette i dodał: – Chyba pojedę z tobą.

Pojechali do szpitala zaraz po szybkiej kolacji. Zostawili dzieci w

godnych zaufania rękach Lyn.

Zaparkowali przed budynkiem szpitalnym. Marty'ego znowu opadły wspomnienia, ale odpędził je od siebie. Wszystko poszło dobrze, przynajmniej tym razem. Nie chciał stracić możliwości wizyty w szpitalu z tak szczęśliwej okazji. Wjechali windą na porodówkę i odszukali pokój Silver. Marty wziął głęboki wdech. Był w stanie to zrobić. Kątem oka dostrzegł łóżeczko dziecięce częściowo zasłonięte kotarą. W tym samym momencie Juliette wzięła go za rękę i uścisnęła ją znacząco.

Spojrzał na nią. W jej oczach dostrzegł wielkie współczucie. Uniósł jej dłoń do ust – Dziękuję ci.

A wtedy zasłona się uniosła. Deck stanął przed nimi, uśmiechał się od ucha do ucha.

– Hej! Cześć! Chodźcie i przywitajcie się z nowym członkiem rodziny.

Z niepokojem patrzył na brata, ale gdy Marty się uśmiechnął, napięcie zniknęło.

– To gdzie jest ta piękna dziewczyna? – zapytał Marty.

Zza kurtyny dobiegł ich głos Silver.

– Tutaj. – Po czym się roześmiała. – Ach, nie mnie miałeś na myśli!

Weszli za zasłonę. Deck stanął u boku żony, pochylił się i pocałował ją czule. Gdyby Marty nie był taki twardy, pewnie by się teraz rozplakał. Tak dobrze było widzieć Decka szczęśliwego, roześmianego. Z jego oczu zniknął smutek, który gościł w nich od wielu lat, od czasu śmierci jego siostry bliźniaczki.

Deck wyprostował się, ale nadal nie spuszczał oczu z żony.

– Jesteś piękna. Dla mnie zawsze taka będziesz – powiedział.

Nieukrywana miłość w jego głosie była nieco niezręczna dla Marty'ego. Po raz kolejny przypomniało mu się, jak bardzo zmieniło się jego życie po pojawieniu się Cheyenne, kiedy stał w szpitalu przy łóżku kobiety, którą kochał.

A teraz był tutaj z inną żoną u boku. Poślubił ją z daleko bardziej praktycznych względów, nie z miłości. A pożałował jej tak bardzo, że nie mógł sobie już wyobrazić życia bez niej.

– A oto – powiedział Deck, wskazując na zawiniątko leżące obok Silver – kolejna piękność w rodzinie. Eriko Silver Stryker, poznaj swoją ciotkę i wuja.

Juliette zrobiła krok do przodu, zasłaniając Marty'emu widok na

niemowlę.

– Witaj, ślicznotko – powiedziała, przyglądając się dziewczynce. Wyprostowała się, a w jej oczach błysnęły łzy. – Jest idealna – powiedziała. – Po prostu idealna.

O dziwo, Marty przesunął się w bok, żeby mieć lepszy widok. Dziecko było takie malutkie. Przy Ericie Bobby wydawał się olbrzymem, choć między nimi było mniej niż pół roku różnicy. Dziewczynka miała kędzierzawą, ciemną czuprynkę. Kiedy otwierała oczy i rozglądała się dookoła z charakterystyczną krótkowzrocznością nowo narodzonych, dostrzegł w jej ciemnoniebieskich tęczęwkach ton srebra.

– Będiesz równie wspaniała jak twoja mama – powiedział do swojej bratanicy. – I dobrze, bo twój tato nie grzeszy urodą.

Musnął ją palcem po policzku i zaśmiał się, gdy małe usteczka ułożyły się do ssania. Najwyraźniej dziecko pomyślało, że zbliża się pora posiłku.

– Jesteś wspaniała, wiesz?

Wyprostował się, wciąż z uśmiechem na ustach. Deck i Juliette gapili się na niego z takimi samymi, pełnymi niedowierzania minami.

– Co? – zapytał.

– Nic – odparł pośpiesznie Deck. – Nic, nic.

Lecz on wiedział. Czekali na jego reakcję. Nagle dotarło do niego, że Juliette stanęła przed nim, żeby oszczędzić mu konieczności spojrzenia na dziecko.

Otoczył ją ramieniem. Kciukiem muskał delikatnie jej szyję. W ten sposób próbował jej okazać, jak bardzo jest jej wdzięczny.

– Pewnie chcesz teraz poznać wszystkie szczegóły – powiedział do niej.

– Pewnie. – Wyciągnęła ręce do Silver. – I chcę potrzymać dziecko.

Zostawili kobiety, żeby mogły porozmawiać o dziecku i porodzie. Wyszli na korytarz. Marty szturchnął Decka pod żebra.

– Nieźle się spisałeś, bracie.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Wciąż jest mi smutno – powiedział Deck. – Ale wreszcie to zwalczyłem. A ty?

Marty wiedział, że ma na myśli nie tyle śmierć ich siostry, ile jego żony i syna. Nie był w stanie zmierzyć się z obrazami, które rodziły się ze wspomnień. Z wieloma rzeczami sobie poradził, ale... Wzruszył lekko ramionami.

– Mniej więcej.

Deck zmrużył oczy.

– Raczej mniej. – Otoczył Marty’ego ramieniem. Powoli wracali do pokoju Silver. – Możesz na mnie zawsze liczyć, gdybyś mnie potrzebował.

Te proste słowa sprawiły, że Marty poczuł gulę w gardle. Przez chwilę nie był w stanie zdobyć się na odpowiedź.

– Dzięki – wydusił z siebie w końcu. – Ale wszystko gra.

Rozdział 7

Pierwszego marca spadło trzydzieści centymetrów śniegu. Drogi zamknięto, firmy zawiesiły działalność, lecz Marty i Deck musieli wychodzić, żeby nakarmić bydło, które poprzedniego dnia sprowadzili do zagrody. Wszystkie krowy zbiegły się razem, gdy mężczyźni rzucili im siano. W czasie dopychania się do jedzenia kilka cieląt oddzieliło się od matek.

Juliette wyszła z Cheyenne na dwór, żeby ulepić bałwana. Bobby w tym czasie spał. Przyglądały się Marty'emu i Deckowi zaganiającemu grupę cielaków, które wybrały się w kierunku strumienia. Jedno z nich wpadło w panikę i pogalopowało w przeciwnym kierunku.

Juliette krzyknęła, ale mężczyźni nie mogli jej usłyszeć. A nawet gdyby ją usłyszeli, na pewno nie mogliby zostawić samych sobie cieląt, które usiłovali zagnać. Spojrzała więc na Cheyenne.

– Muszę iść po tego cielaka, skarbie. Może byś poszła do domu i zdjęła mokre rzeczy? Wróć do ciebie, jak tylko go złapię, dobrze?

Cheyenne nie protestowała. Kiedy Juliette szła w kierunku bramki, usłyszała zza pleców okrzyk dziewczynki:

– Weź linę ze stodoły!

Juliette zatrzymała się, zawróciła, pobiegła do stodoły po linę, po czym poszła za cielakiem na wzgórze. Czterolatka, która tu się wychowywała, wiedziała więcej o obchodzeniu się z bydłem niż ona. Smutne, ale prawdziwe.

Nie potrafiła nawet jeździć konno. Nigdy w życiu nie miała do czynienia z końmi czy krowami. Przy dużych zwierzętach robiła się nerwowa. Jednak poprosiła Marty'ego, żeby latem, kiedy będzie wolny od doglądania cielących się krów oraz ich karmienia, nauczył ją jeździć konno. Jeśli ma tu mieszkać, musi nauczyć się, jak pomagać mu w pracy. Marty chyba tego nie oczekiwał i mimo że często jej opowiadał o swoich zajęciach, nigdy nie prosił jej o pomoc. Może myślał, że nie miałyby na to ochoty.

Zasapała się, gdy w końcu udało się jej przebrnąć przez wielką zaspę na szczycie wzgórza. Nie było bardzo zimno. Spociała się w swoim ciepłym ubraniu.

Cielę stało przy kępie jałowców i niepewnie rozglądało się dookoła.

Kiedy podeszła, prychnęło i zrobiło kilka kroków w tył.

Och, ile by dała, żeby móc zarzucić linę, którą dzierżyła w dłoniach! I żeby siedzieć w siodle. Cielak był większy, niż się jej zdawało. Wiedziała, że jeśli będzie stawiał opór, nie da sobie z nim rady, bo nie ma dość sił. A niech to! Kiedy Marty łąpał bydło, wyglądało to na takie proste zajęcie. Bez trudu potrafił przewrócić je na ziemię. Może to tak naprawdę nie był dobry pomysł z tą samotną wyprawą po cielaka. Powinna po prostu powiedzieć Marty'emu, w którą stronę uciekł.

– Chodź do mnie, mały – powiedziała cicho. – Przyjdziesz do mnie? Chcę tylko zabrać cię do domu, do mamy.

Zrobiła pętlę z liny i podeszła kilka kroków, ale cielak znowu odskoczył do tyłu, więc się zatrzymała. Czekwała. Spróbowała jeszcze raz. Znowu poczekała.

Zacisnęła zęby. Czas mijał i zaczynała się martwić o Cheyenne i Bobby'ego. Nie bała się już, że pasierbica zrobi krzywdę jej synkowi, ale z drugiej strony dziewczynka była za mała, żeby się o niego zatroszczyć. Juliette najbardziej obawiała się, że Cheyenne może próbować wyjąć go z łóżeczka, gdyby się obudził i zaczął płakać.

Zadrżała z zimna. Ubrała się odpowiednio na półgodzinną zabawę na śniegu, ale nie była to prawdziwa ochrona przed chłodem.

– Dobrze – powiedziała głośno. – Starczy tego dobrego. Zabieram cię do domu, ty bachorze.

Ruszyła w stronę cielaka, który znowu się cofnął. Tym razem jednak Juliette się nie zatrzymała. Podeszła do niego, zarzuciła mu linę na szyję i ruszyła w kierunku domu.

Zorientował się, że jej nie ma, dopiero w porze lunchu. Cheyenne siedziała przy kuchennym stole i rysowała na dużym kawałku papieru przyklejonym do blatu. Nie dostrzegł niczego do jedzenia. A umierał z głodu.

– Hej, słoneczko. – Marty porwał ją z krzeselka i potarł brodą o jej kark, aż wybuchnęła śmiechem. – Gdzie Juliette?

Pomyślał, że pewnie poszła do synka i zapomniała o czasie.

Cheyenne wróciła do kolorowania.

– Poszła złapać cielaka.

– Co? – Nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – Powtórz, co

powiedziałaś.

– Poszła po cielaka. Wiesz, tego, który uciekł w inną stronę.

Serce zamarło mu w piersiach.

– Wtedy, kiedy było karmienie?

Boże, to prawie godzinę temu.

Cheyenne kiwnęła głową.

– Tak. – Podniosła główkę. – Powiedziała, żebym wróciła do domu i na nią poczekała. Może powinienes po nią iść, tatusiu.

– Dobry pomysł. – Marty już był przy drzwiach. Nagle coś kazało mu się zatrzymać. Poczul falę paniki. – Czy wzięła ze sobą Bobby’ego?

Córka spojrzała na niego z pogardą.

– Pewnie, że nie. Bobby śpi. Nasłuchiwałam, ale jeszcze się nie obudził.

Poczul ulgę tak silną, że ugięły się pod nim kolana.

– Dobrze. Gdyby się obudził, poopowiadaj mu coś, ale nie wyjmuj go z łóżeczka.

Poczekal jeszcze sekunde, az Cheyenne z ociąganiem kiwnęła głową, i już go nie było. Deck pojechał już jakiś czas temu do domu, więc musiał sam zacząć poszukiwania, by szybko ją znaleźć. Ta myśl była jednak zbyt przerażająca, żeby pozostać przy niej dłużej. Wskoczył za kierownicę półciężarówki i ruszył w stronę bramki, za którą rozproszyły się cieleta.

Modlił się, żeby nic złego nie stało się Juliette. Tak bardzo jej potrzebował. Była krucha i delikatna. Zawsze na niego czekała z otwartymi ramionami. Ona też go potrzebowała. W taki sposób, w jaki nigdy nie potrzebowała go Lora. Lora była jego towarzyszką, równą mu, pewną siebie, zdolną zawsze sobie poradzić, silną. Ale...

Juliette miała wszystkie te cechy, lecz w mniejszym stopniu. Musiał przyznać, że odezwał się w nim prymitywny szowinista. Podobało mu się, że zwracała się do niego i przyjmowała jego opiekę oraz wsparcie. Podobało mu się też, że była taka mała, kobieca i tak bardzo delikatna. Była wyjątkowa i niezastąpiona. Czasem się zastanawiał, skąd miał tyle szczęścia.

Strach znowu złapał go za gardło. Boże, żeby tylko nic się jej nie stało...

Zdał sobie sprawę z tego, że zamknął oczy i zacisnął je mocno. Rozejrzał się dookoła. Nie chciał tracić ani jednej cennej chwili. Musiał jej szukać.

Na śniegu dostrzegł pojedyncze ślady kopyt oddzielające się od stadka, które on i Deck zagonili. A niech to. Nie zauważyli tego jednego. Ale jak to

się stało? Ze śladami cielaka przeplatały się ślady butów, małe, niemal dziecięce.

Oddalały się od rancza.

Serce mu zamarło. Miał do wyboru: kłać na jej brak rozsądku albo modlić się o to, żeby nic się jej nie stało. Wspinał się samochodem na wzgórze tak szybko, jak się dało. Na szczęście miał napęd na cztery koła. Zachmurzyło się, ale przynajmniej nie wiało. Ślady były dobrze widoczne. Dojechał na szczyt wzgórza i zaczął zjeżdżać z drugiej strony.

W końcu dostrzegł przed sobą drobną sylwetkę. Szła w jego stronę i prowadziła cielaka na linie.

Zamknął oczy i nacisnął na gaz. Ulga była tak ogromna, że niemal się rozplakał. Nic się jej nie stało!

Kiedy podjechał bliżej, wyskoczył zza kierownicy szybciej, niż zupełnie zgasł silnik.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – wrzasnął, podchodząc do żony.

Cielak ze strachu zarył się kopytami w ziemię i zatrzymał tym samym Juliette. Jednak Marty nawet nie zwrócił na to uwagi. Podbiegł do niej i objął ją ciasno.

– Nigdy w życiu mnie tak nie strasz!

Opuścił głowę i pocałował ją. Gorączkowo, niemal dygocząc z ulgi. A ona drgnęła i odpowiedziała na jego pocałunek.

– Tak cholernie się cieszę, że jesteś, aniołku – szepnął.

Cielak ciągnął za linę tak silnie, że niemal wrywał Juliette z jego objęć. Wziął od niej linę. Drugą ręką wciąż przyciskał ją do siebie. Czuł ciepło jej oddechu w zakątku szyi. Wybiegł z domu w takim pośpiechu, że zapomniał zapiąć kurtkę.

– Przepraszam – mówiła z trudem. – Pomyślałam... Bałam się, że ciebie zginie, więc poszłam za nim.

Zauważył, że cała drży, a jej twarz i nos są bardzo zimne.

– Musisz się rozgrzać. – Zabrał żonę i cielaka do auta. Juliette wsadził do szoferki i podał jej zwierzaka. – Trzymaj go.

Następnie wskoczył za kierownicę, włączył ogrzewanie na cały regulator i ruszył do domu.

Zatrzymał się przy zagrodzie, otworzył bramę i wprowadził tam ciele. Przy ogrodzeniu stała samotna jałówka, która zaraz podbiegła do zbiega. Marty wziął Juliette na ręce i zaniósł ją do domu.

Otworzył drzwi ramieniem, postawił ją w pomieszczeniu gospodarczym, zamknął drzwi kopniakiem. Zdjął szybko grube rękawice, upuścił je na podłogę. Zaczął rozpinąć jej płaszcz, rozwiązywać szalik. Wszystko po kolei łądowało na podłodze.

Ręce mu drżały, i to nie z zimna. Odetchnął głęboko, żeby uspokoić puls. Była tu. Bezpieczna.

Cheyenne wpadła do pomieszczenia.

– Wróciłaś! Złapałaś cielaka? Marty kiwnął głową.

– Złapała. A teraz weźmie gorący prysznic.

– Czy Bobby się już obudził?

To były pierwsze słowa Juliette od chwili, gdy przywiózł ją do domu.

Cheyenne kiwnęła głową.

– Powiedziałam mu, że się zgubiłaś.

Marty popchnął Juliette w stronę łazienki.

– Poczekaj! – powiedziała. – Muszę najpierw iść po Bobby’ego.

Trzymał ją mocno za nadgarstek. Odkręcił wodę i wyregulował temperaturę.

– Musisz wejść pod prysznic i rozgrzać się – powiedział, rozpinając guziki jej koszuli.

– Ale...

– Pójdę po dziecko.

Przestała walczyć. Szum wody był jedynym dźwiękiem, jaki przerywał ciężkie milczenie. Jej wielkie, niebieskie oczy przez dłuższą chwilę wędrowały po jego twarzy. W końcu kiwnęła głową.

– Dobrze. Pośpieszę się.

Był tak wdzięczny, że nic się jej nie stało, tak wdzięczny. Sapał ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Boże, nawet nie wiesz, jak mnie przestraszyłaś – szepnął jej do ucha.

Objęła go i schowała twarz na jego piersi.

– Siebie też przestraszyłam – wyznała. – To było głupie. Przepraszam.

Powędrował wzrokiem niżej. W rozchyleniu koszuli dostrzegł stanik z czerwonej koronki. Przejechał palcem po jej szyi i niżej, aż do doliny między piersiami.

– Zrób coś dla mnie. Po prysznicu włóż to z powrotem na siebie.

Uśmiechnęła się. Wspięła się na palce i pocałowała go poniżej ucha. Poczł pieszczotę jej języka.

– Cokolwiek sobie zażyczysz. Zadrzał.
– Poczekaj tylko do wieczora.
– Z przyjemnością.
– Włóż pod ten prysznic i zostań tam, aż wrócę – rozkazał. Po czym zamknął drzwi od łazienki.

O niczym innym w tej chwili nie marzył, niż żeby wejść tam razem z nią, stać pod strumieniem gorącej wody i czekać, aż ona się rozgrzeje. Ale nie mógł tego zrobić, bo musiał zająć się czymś innym.

Dziecko.

Wszedł do kuchni. Nie było tu Cheyenne. Nie było jej też w salonie. Zaczął się niepokoić, gdy dobiegł go płacz Bobby’ego. Wygarbuje jej skórę, jeśli go nie posłuchała i próbowała sama zająć się dzieckiem. Ta myśl sprawiła, że biegł na górę po dwa stopnie.

Normalnie wahałby się długo przed wejściem do pokoju, gdzie spał Bobby, ale niepokój i adrenalina nie pozwoliły mu czekać. Dopadł do łóżeczka, nim miał czas w ogóle się nad tym zastanowić. Cheyenne stała u wezłowania. Machała pluszowym zwierzakiem i mówiła do dziecka, ale jego płacz i tak przybierał na sile.

Marty pochylił się nad łóżeczkiem i spojrzał na drobną, czerwoną twarzyczkę.

– Hej, człowieczku, o co chodzi?

Bobby przestał płakać. Jego oczy się rozszerzyły. Można się było zastanawiać, czy zadziałała tak nieznajoma twarz, czy też głęboki głos Marty’ego.

A potem chłopczyk się uśmiechnął. Nie z wahaniem, ale od ucha do ucha. Śmiał się całym ciałem: wymachiwał rączkami, kopał nóżkami. Otworzył buzię i pisnął radośnie.

– Lubi cię, tatusiu – powiedziała Cheyenne.

– Aha.

To był ledwie szept Marty miał ściśnięte gardło. Serce przeszył mu znajomy ból. Zmusił się jednak do wsunięcia swoich dużych dłoni pod dziecko, uniesienia go i położenia sobie na piersi. Małe ciało było ciepłe i miłe. Chłopczyk wygiął się i spojrzał Marty’emu w twarz, po czym przytulił się, jakby to było właśnie jego miejsce.

Może i było. Marty zamrugał. Próbował wyostrzyć nagle zamglony wzrok. To dziecko było członkiem jego rodziny. To było jego dziecko.

Bobby go potrzebował.

– Pewnie chce, żeby mu zmienić pieluszkę – powiedziała Cheyenne z pewnością kogoś, kto wielokrotnie widział ten rytuał.

Marty kiwnął głową. Zaniósł dziecko do stolika, położył je. Po raz pierwszy widział Bobby'ego w całej okazałości. Jasne włosy, niebieskie oczy jego matki, dołeczek w jednym miękkim policzku... śliczne było z niego stworzonko.

Powiedział mu to, a Bobby pisnął i roześmiał się po raz kolejny. Stare nawyki wróciły łatwiej, niż się spodziewał. Nie minęło kilka chwil, a maluch był przewinięty.

– Chodźmy na dół, do mamy – powiedział Marty, biorąc chłopczyka na ręce.

Bobby miał prawie pięć miesięcy. Jeszcze nie umiał sam siedzieć, ale potrafił się całkiem sztywno trzymać w objęciach Marty'ego. Z zainteresowaniem rozglądał się dookoła, gdy schodzili na dół. Za nimi dreptała Cheyenne.

Wbrew obietnicy Juliette uporała się z prysznicem jak najszybciej. Skończyła się wycierać, owinęła się w jeden z wielkich ręczników kąpielowych, kiedy otworzyły się drzwi łazienki i wszedł Marty.

Na rękach niósł Bobby'ego.

Wpatrywała się w nich, próbowała coś powiedzieć. Bobby rozglądał się dookoła, najwyraźniej zadowolony z siebie. Na jej widok pisnął z radości.

– Przewinałem go – powiedział Marty takim tonem, jakby było to jego codzienne zajęcie. – Cheyenne robi kanapki z indykiem na lunch.

To dopiero zmusiło ją do przerwania milczenia.

– Co?

– Właściwie – wyjaśnił – smaruje chleb masłem. Powiedziałem jej, że wrócę za chwilę i jej pomogę. Może byś włożyła na siebie coś ciepłego?

Kiwnęła głową. Wciąż wlepiła w niego wzrok.

– Czy... czy chcesz, żebym go od ciebie wzięła? Marty wzruszył ramionami.

– Nie. Włożę go do fotelika.

Nie wykonał najmniejszego gestu, który by wskazywał, że chce jej podać Bobby'ego.

O dziwo, miała pewne opory, żeby zostawić syna z Martym. Przecież tak naprawdę go nie lubił. Rozumiała ból, jaki nękał jej męża. Dotąd nigdy nie

prosiła go o opiekę nad chłopczykiem.

Marty musiał odczytać te myśli z jej miny. Uśmiechnął się do niej łagodnie, a w jego niebieskich oczach błysnęło ciepło i... miłość?

– Wszystko gra – powiedział. – Idź się ubrać. *

Tak więc zrobiła. Jednak kiedy wchodziła po schodach na piętro i wkładała suche, ciepłe ubrania, nie mogła zapomnieć wyrazu jego oczu. Nigdy dotąd tak na nią nie patrzył. Pamiętałaby, gdyby było inaczej.

Czy to możliwe, że Marty ją pokochał? Prawie bała się mieć taką nadzieję. Życie już dało jej kopniaka. Gdy wychodziła za Marty'ego, wiedziała, że on wciąż kocha pierwszą żonę. I pogodziła się z tym.

Lecz to spojrzenie.

Późnym popołudniem przeczytała Cheyenne bajkę. Leżały na podłodze w salonie i bawiły się z Bobbym rozłożonym na wznak na kocu. Inky ułożył się obok i z rezerwą przyglądał się wyrzucanym w powietrze kończynom. Potem poszła z Cheyenne na górę, by ułożyć dziewczynkę do snu.

Wróciła, niosąc w ramionach kosz z brudną bielizną do prania. Przechodząc, rzuciła okiem do salonu, żeby sprawdzić, czy Bobby nie przetoczył się za bardzo na bok...

Stała jak wmurowana.

Obok jej synka na podłodze leżał Marty. Oparł się na łokciu. Dużą dłońią głaskał chłopczyka po brzuszku. Bobby nie spuszczał z niego oka.

Po twarzy Marty'ego płynęły łzy.

Serce zaczęło jej bić tak szybko, że bała się omdlenia. Powoli odstawiła kosz z praniem, podeszła do nich i uklękła obok. Dotknęła lekko ramienia Marty'ego. Odwrócił się od dziecka, usiadł i wyciągnął do niej ramiona. Przyciągnęła go do siebie, schowała mu głowę na piersi i pozwoliła się wypłakać.

Zdawało się, że siedzą tak całą wieczność. W końcu jednak Marty się uspokoił.

– Tak cię przepraszam – powiedział.

– Ja też cię przepraszam – szepnęła cicho, głaszcząc go po głowie.

Odsunął się nieco i spojrzał jej w oczy.

– Powinienem ci o wszystkim powiedzieć na samym początku.

– A ja nie powinnam ukrywać przed tobą, że nie jestem sama – powiedziała. – Poradzimy sobie z tym. Będzie dobrze.

– Będzie lepiej niż dobrze. – Marty obrócił się i spojrzał znowu na

Bobby'ego. – Kiedy zacznie siadać?

– Wzruszyła ramionami.

– W książkach piszą, że kiedy będzie miał pół roczku, co oznacza, że zostało mu jeszcze jakieś trzy, cztery tygodnie. A czemu pytasz?

Uśmiechnął się szeroko, w policzkach zrobiły mu się dołki. Oszołomiło ją nieukrywane szczęście, jakie odmalowało się na jego twarzy.

– Bo kiedy zacznie siadać, będę mógł wsadzić go na konia.

– Nawet o tym nie myśl! – Śmiała się w głos. – Pewnie nauczy się jeździć konno równocześnie ze swoją matką.

Marty otrzeźwiał na te słowa.

– Przrzeknij mi, że nigdy się tak nie oddalisz bez samochodu.

Jego oczy pociemniały. Kiwnęła głową.

– Przrzekam. To był... impuls. Bałam się, że cielak się zgubi i zamarznie na śmierć.

– Prawdopodobnie by zamarzał. – Przyciągnął ją do siebie i przez długą chwilę milczeli. Przyglądali się Bobby'emu baraszkującemu na kocu. W końcu Marty odchrząknęła. * – Gdybyś przeniosła go do pokoju dzieciennego, mielibyśmy do dyspozycji pokój gościnny.

Straciła na chwilę oddech. Nie wchodziła do tego pokoju od dnia przyjazdu.

– Jesteś pewien, że tego chcesz?

Kiwnął głową. Uśmiechnął się łagodnie i smutno.

– Dam radę. – Wypuścił głośno powietrze z płuc i dodał drwiąco: – Możesz wtedy zaprosić z wizytą to smoczysko.

– Smoczysko... chodzi ci o Millicent! – Chichotała. – Sama nie wiem. Ona potrafi być bardzo władcza.

– Ja też. – Marty głaskał ją po policzku. – Chcesz przecież, żeby Bobby znał swoją babkę, prawda?

– Kiedy kiwnęła głową, dodał:

– Więc niech nas odwiedzi. Zaufaj mi, aniołku, wszystkim się zajmę. Nie pozwolę, żeby nas rozstawiała po kątach.

– Dobrze.

Marty uśmiechnął się z satysfakcją. Pochylił się nad Bobbym.

– Hej, chłopie, chcesz się zabawić w chowanego?

Parsknęła śmiechem. Te wielkie, szerokie ramiona zupełnie nie pasowały do dziecięcej zabawy z niemowlęciem. Była szczęśliwa. Jeśli Marty był w

stanie pokochać jej syna, to na pewno z otwartymi ramionami przyjmie ich wspólne dziecko.

Nie miała już właściwie wątpliwości, że jest w ciąży. Okres spóźniał się jej o miesiąc, miała wrażliwe piersi. Czuła się dokładnie tak, jak na początku, gdy oczekiwała Bobby'ego. Jeszcze przez jakiś czas nie będzie tego widać. Mogła poczekać odrobinę z poinformowaniem o tym Marty'ego.

Reszta marca minęła spokojnie. Dwa razy przyszła zadymka i silne wiatry, które sprawiały, że drogi były nieprzejezdne. Marty'emu to odpowiadało. Jedynym problemem było zagrożenie, jakie to stwarzało dla nowo narodzonych cieląt. On i Deck wyprowadzili wszystkie cielne krowy na pastwiska koło stodoły i mieli na nie oko. Kwiecień był porą cielienia.

Pomagali w porodach tych cieląt, które ułożone były kopytami do przodu albo miały inne problemy z wydostaniem się na zewnątrz. Ciągnęli jałówki za ogony, żeby wymęczone, czasowo sparaliżowane po porodzie zwierzęta dźwignęły się na nogi. Kiedy Juliette zobaczyła to po raz pierwszy, była przerażona. Dopiero Marty jej wyjaśnił, że w ten sposób pomaga krowie odzyskać równowagę i stanąć na nogach.

Dwie jałówki zostały pokryte przez ogromnego byka sąsiadów. Sporo się wszyscy namęczyli, żeby wydostać na świat wielkie cielęta. Dwukrotnie trzeba było wezwać weterynarza: raz, gdy niezbędne było cesarskie ciecie, żeby wydobyć martwe cielę, i drugi, gdy krowie wypadła macica. Dzięki Bogu obie krowy i jedno z cieląt przeżyło.

Marty nauczył Juliette wypatrywania w stadzie krów z nabrzmiałymi wymionami, co oznaczało, że chory cielak nie ssie mleka. Szybko zdobyła umiejętność rozpoznawania, która krowa jest chora. On tego nie potrafił. W ten sposób mogli natychmiast dawać im tabletki. Dzięki temu stracili w tym sezonie zaledwie kilka zwierząt. Przez większość czasu Marty był zbyt zmęczony, żeby myśleć o czymkolwiek. Od świtu do zmierzchu pracował przy krowach, wieczorem padał na łóżko jak kłoda. Kochał się z Juliette rano, kiedy pożądanie było tak silne, że pokonywało zmęczenie. A ona zajęła się domem tak sprawnie, że łatwiej przebrnął przez sezon cielienia niż poprzednimi laty. Mimo to był wycieńczony.

Nie czuł takiej emocjonalnej huśtawki od śmierci Lory i synka.

Przepelniała go mieszanina zadowolenia i dawnego smutku, choć ten ostatni z każdym dniem tracił na sile. Każde świeże wspomnienie

zmniejszało ból dawnych. Czasami ogarniało go poczucie winy, bał się, że zapomina. Ale zaraz potem zagarniała go codzienność. Wiedział, że życie musi się toczyć dalej. Lora chciałaby, żeby był znowu szczęśliwy.

A on mimo meczącej pracy był teraz szczęśliwy. Dni dopełniały te wyjątkowe chwile znane tylko rodzicom, kiedy dziecko robi coś nowego. Bobby usiadł sam piętnastego kwietnia. On i Juliette wybuchnęli śmiechem na widok triumfu na twarzy chłopczyka. Marty poczuł wtedy jakieś dziwne ukłucie w sercu. Coś jakby w nim zmieniło się, coś, co było nie tak od dwóch lat.

A może powinien szczerze przyznać, że to było coś zupełnie nowego. Wcześniej tego nie znał.

Kochał ją. Boże, jak on ją kochał! Przyszła do niego, została przy nim wbrew skrajnie niesprzyjającym okolicznościom. Każda inna kobieta by się poddała i odeszła. Uczyniła z budynku na ranczu dom, a jego córeczkę przyjęła do serca jak własną. Nigdy się nie spodziewał ani nie oczekiwał, że tak bardzo zaangażuje się w pracę na samym ranczu. A jednak tak właśnie było.

Była taka krucha i ponętna, tak słodka, że pragnął jej częściej, niż to było zdrowe dla obojga. Dobrze, że musiał ciężko pracować. Dobrze, że mieli dzieci, którymi trzeba się było *zająć*. Gdyby byli w sytuacji klasycznych nowożeńców, którzy nic nie mają na głowie, do tej pory zniszczyliby chyba doszczętnie kilka materaców.

Nie pamiętał, by tak bardzo pożądał Lory. Pewnie, że jej pragnął. Zaczęli ze sobą chodzić jako bardzo młodzi ludzie. Niewiele później się pobrali. Rzecz w tym, że Lora umarła, a on pozostał. Żył dalej, znalazł sobie kobietę, którą, jak musiał teraz przyznać, pokochał. I która, czuł to sercem, kochała go z tą samą intensywnością. Nigdy nie zachęcał jej, by to wyraziła w słowach, ale wystarczały jej ruchy, spojrzenia błękitnych oczu, namiętność. Wszystko mówiło mu, że go kocha.

Wiedział, że gdyby coś się stało Juliette, nigdy w życiu nie odzyskałby równowagi ducha. Zamierzał jej to powiedzieć, kiedy tylko skończy się sezon cielienia, kiedy będzie mógł zrobić sobie wolne na pół dnia. Deck był mu to winien. Zeszłego lata jego brat zalecał się do Silver i brał sobie wolne. Marty uznał, że miło byłoby wybrać się na piknik nad rzeką. Mógłby wtedy powiedzieć Juliette, co czuje... i kochać się z nią.

Pomysł bardzo mu się spodobał. Pogwizdywał sobie pod nosem,

wracając do pracy. Kończył się kwiecień.

Kiedy nadszedł pierwszy maja, jeszcze tylko kilka krów się nie ocieliło. Marty powiedział Juliette, że najgorsze chyba mają już za sobą. Oczywiście zostało jeszcze znakowanie, ale z każdym tygodniem dni były coraz dłuższe i cieplejsze. Wszystkim kręciło się w głowach od nadchodzącej wiosny.

Juliette, zgodnie z sugestią Marty'ego, zadzwoniła do Millicent. Starsza pani zamierzała skwapliwie skorzystać z zaproszenia. Była odrobinę mniej irytująca. Zapytała nawet o wiek Cheyenne i o to, co dziewczynka lubi robić. Jeśli Juliette znała choć trochę swoją byłą teściową, to zamierzała stanąć w drzwiach obładowana taką ilością prezentów, że mogłaby przekupić każde dziecko. Ale nawet ta perspektywa nie była specjalnie przykra. Millicent zachowywała się zdecydowanie lepiej od pamiętnej rozmowy z Martym. Juliette cieszyła się z tej zmiany.

Zabrała się do uprawy ogrodu. Po raz pierwszy w życiu hodowała coś innego niż kwiaty. I miała świetną doradczynię, Lyn. Posiały szparagi, sałatę i rzodkiewkę. Pewnego wyjątkowo ciepłego dnia posadziła w rozmokłej ziemi cebulę i ziemniaki.

Cheyenne była wtedy u Silver, „pomagała” przy swojej kuzynce, Erice, a Bobby właśnie drzemał. Zwykle trwało to około dwóch godzin. Juliette wróciła do domu cała ubłocona.

Marty zauważył ją, jak przechodziła przez ogród. Uśmiechnął się i pomachał ręką. Jechał traktorem. Posłała mu całusa, po czym się skrzywiła. Liznęła błoto z palców. Kiedy weszła do środka, wciąż brzmiał jej w uszach jego śmiech.

Zrzuciła z siebie wszystko w pomieszczeniu gospodarczym. Dziwne, jak szybko przyzwyczaiła się do izolacji na ranchu. Nigdy wcześniej nie chodziła nago po domu, bo bała się, że ktoś mógłby zapukać do drzwi albo zajrzeć przez okno. A teraz stanowiło to dla niej rzecz najnormalniejszą pod słońcem.

Najbardziej brudne ubrania namoczyła w zlewie, żeby je potem wrzucić do pralki. Kiedy Marty wróci i się rozbierze, będzie tego na cały załadunek. Prała codziennie, bo, jak sama stwierdziła, był to jedyny sposób na uporanie się z górami brudów.

Weszła do łazienki i zaczęła przygotowywać się do wejścia pod prysznic. Pogratulowała sobie pomysłu ze zniesieniem na dół szlafroka,

który wisiał na drzwiach łazienki. Była rozgrzana wysiłkiem fizycznym, ale z doświadczenia wiedziała, że szybko zrobi się jej chłodniej.

Prysznic był wprost boski. Spłukała z siebie cały brud, umyła głowę i zaczęła się namydlać. Kiedy nagle odsunęła się zasłona, krzyknęła i niewiele brakowało, a upuściłaby mydło.

Marty ryknął śmiechem i wszedł pod prysznic. Przycisnął ją do ściany. Był zupełnie nagi. Przepiękny. Wziął od niej mydło i zaczął ją myć.

Oparła dłonie na jego piersi. Odetchnęła z ulgą.

– Przestraszyłeś mnie.

– Przykro mi. Oczy mu błyszczały.

Nigdy nie widziała człowieka, któremu byłoby mniej przykro. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

– Tęskniłam za tobą.

– Ja też. – Oddychał z coraz większym trudem. – Cielenie się skończyło, mamy czas na...

Przejechał namydlonymi dłońmi po jej piersiach. Nie potrafiła zdusić okrzyku. Minęło tyle czasu od chwili, gdy mieli dla siebie więcej niż tylko krótkie, kradzione chwile wczesnym ranem.

Marty zakręcił wodę i sięgnął po ręczniki. Zawinał ją, jakby była małym dzieckiem. Wziął na ręce i zaniósł na górę do sypialni.

– Ile mamy czasu? – zapytał, wskazując na zamknięte drzwi pokoju, w którym spał Bobby.

Pocałowała go w szyję.

– Jakaś godzinę.

– Mało – powiedział. – Ale chyba będzie musiało wystarczyć.

Patrzył na nią z błyskiem w oku. Dech jej zaparło. Coraz częściej widziała to w jego oczach. Próbowwała nie pozwolić sobie na dopatrywanie się w tym zbyt wiele, ale nie potrafiła przestać myśleć, że serce Marty'ego w końcu się przed nią otwiera.

Postawił ją przy łóżku i zdjął z niej ręcznik. Padł na nią promień jasnego, popołudniowego słońca.

– Chcę na ciebie popatrzeć.

Nagle rozdzwoniły się jej alarmy w głowie. Była w ciąży prawie od czterech miesięcy. Cięża była już widoczna. Juliette złapała ręcznik, ale wyrwał go jej ze śmiechem. – Nagle jego śmiech ustał, jakby ktoś zatkał mu

usta. Zmrużył oczy. Patrzył na nią z niedowierzaniem. Zauważył, że jest w ciąży.

I nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Rozdział 8

– Jesteś w ciąży.

Jego głos był nieprzyjemny, oczy pozbawione wszelkiego ciepła. Przyszło jej do głowy, że wpatruje się w jej brzuch takim wzrokiem, jakim mógłby mierzyć grzechotnika.

Jego reakcja tak dalece odbiegała od tego, na co pozwoliła sobie już mieć nadzieję, że po prostu stała oniemiała z bólu. Zrobiło się jej zimno. Czowała się obnażona, przerażająco, żałośnie podatna na zranienie. Odwróciła się od niego, złapała szlafrok przerzucony przez ramę łóżka i otuliła się nim.

– Tak.

Marty przecesał włosy drżącą dłonią.

– Do licha, Juliette! Nigdy nie rozmawialiśmy o wspólnych dzieciach. – Mówił coraz głośniejszym, z coraz większym gniewem. – Do diabła, jak mogłaś mi coś takiego zrobić?

Określiła się na pięcie urażona jego zarzutami.

– Nie planowałam tego! – powiedziała gwałtownie.

– Nie chcę mieć więcej dzieci – rzekł surowo.

Te słowa, jego gniew, to była dla niej tortura. Sama była coraz bardziej rozgniewana. Pozwoliła sobie stracić nad sobą kontrolę. Potrzebowała czegoś, co choć na chwilę uśmierzyłoby piekący ból, jaki wywołała jego bezduszna postawa.

– To trzeba było trzymać się z daleka od spiżarni! – wykrzyknęła.

– Spiżarni... – Nagle sobie przypomniał. Zaklął siarczyście. Przeszył ją spojrzeniem. – Który to miesiąc?

– Koniec czwartego.

Musiała zebrać wszystkie siły, żeby panować nad sobą.

– O, Boże. – Marty usiadł ciężko na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. – Ja nie chcę mieć więcej dzieci.

Te słowa stworzyły między nimi wielką przepaść.

W jednej chwili legły w gruzach wszystkie nadzieje, marzenia o przyszłości, idealistyczne mrzonki o życiu z tym mężczyzną. Odsunęła się od niego. Złapała się ręką framugi drzwi prowadzących do łazienki.

Gdy dotarło do niego, co ona robi, była już za progiem łazienki. Zatrasnęła drzwi i zamknęła się od środka, nim zdążył zareagować.

Słyszała jego wrzaski, ale zacisnęła powieki, odkręciła wodę w obu kranach i zagłuszyła w ten sposób jego głos.

Nie ruszył się z miejsca, aż zakręciła wodę. Konsekwentnie ignorowała jego żądania, żeby otworzyła drzwi. W końcu zaklął głośno i zaczął łomotać w nie pięściami. Odskoczyła pod ścianę. Następnie usłyszała jego ciężkie buty w korytarzu. Nasłuchiwała uważnie. Wyjrzała przez okno, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Marty biegł w stronę stodoły.

Wstrząsały nią niekontrolowane szloch, ale dusiła je w sobie. Nie mogła sobie teraz pozwolić na płacz. Gdyby zaczęła, mogłaby nie przestać. Siłą woli wypchnęła Marty'ego ze swoich myśli. Skoncentrowała się na tym, co musiała zrobić. Szybkimi ruchami ubrała się i wyciągnęła z szafy jedną ze swoich walizek. Zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy, wystarczające na kilka dni. Następnie poszła do pokoju Bobby'ego i zebrała jego rzeczy. Kiedy wróciła z nimi do sypialni i zaczęła upychać je w walizce, usłyszała podzwanianie uprząży. Podeszła do okna.

Marty siedział w siodle na swoim ulubionym wałachu.

Po chwili zniknął za wzgórzem. Zapamiętała jego wyprostowane plecy.

Skorzystała z telefonu przy łóżku. Najpierw zadzwoniła na lotnisko w Rapid City, a potem do Lyn. Następnie zamknęła walizkę i zeszła na dół. Szybko wzięła z kuchni rzeczy, których potrzebowała dla Bobby'ego.

Na lodówce wisiała kartka z rysunkiem Cheyenne. Zdjęła ją i ułożyła ostrożnie na płasko w walizce. Wzięła kilka głębokich wdechów, próbując powstrzymać łzy.

Była w ciąży. Boże, Boże. Co on zrobi, jeśli ją straci?

Oddech Marty'ego był urywany, jakby biegł, a nie jechał konno. Oczami wyobraźni widział ciężarówkę podskakującą na wybojach, która zatrzymała się obok niego. Na twarzy Lory malowało się cierpienie i strach.

– Rodzę. Był osłupiały.

– Ale... to jeszcze nie termin.

– Powiedz to dziecku. Jadę do szpitala, natychmiast!

Koniec zdania wykrzyczała. Szybko wziął sprawy w swoje ręce. Przywiązał konia i wskoczył za kierownicę półciężarówki.

Zadzwonił do Decka z samochodu. Poprosił brata, żeby pojechał i zabrał konia. A potem modlił się całą drogę do Rapid City.

Jednak jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Nigdy w życiu nie czuł

się tak bezsilny. Tak zdruzgotany. Tysiące razy później pytał siebie, co mógł zrobić inaczej, co powinien był zrobić. Torturował się wizjami siebie tamującego krwotok i ratującego życie żony.

Lecz tak się nie stało. Umarła zarówno ona, jak ich nowo narodzony synek.

Juliette pozwoliła mu wierzyć, że może jednak jego życie nie jest tylko pasmem nieszczęść, może odzyska szczęście dzięki swojej największej miłości. A teraz zaszła w ciążę.

Boże, a gdyby ona umarła?

Przeżył śmierć Lory, ale gdyby coś się stało Juliette...

A mogłoby. Mogłoby. Jego rozbudzona wyobraźnia podsuwała mu różne scenariusze, jeden gorszy od drugiego. Mieszkali daleko od szpitala. Była taka drobna, tak cholernie drobna. Nie powinna zachodzić w ciążę. Lora się wykrwawiła. Z Juliette mogło zdarzyć się to samo.

Wciąż miał przed oczami jej przerażoną minę, gdy w panice zareagował głupim wybuchem.

Irracjonalny gniew Znowu zaczął go dławić. Jak ona mogła mu coś takiego zrobić? Och, wiedział dobrze. Wiedział, co miała na myśli, mówiąc o spiżarni. Pamiętał ten moment. Wracał do niego myślami bardzo często. To było takie wspaniałe, takie kuszące... ! Odkąd zamieszkała pod jego dachem, nie myślał o niczym innym poza seksem. Poza kochaniem się z nią. Rano, w południe i wieczorem wciąż myślał o Juliette.

No i proszę, co narobił. Małżeństwo w ruinie i żona... prawie zapłakał w głos. Żona może stracić życie przez jego nieostrożność.

Zmusił konia, by zwolnił. Powoli zniknął gniew. Gryzło go za to sumienie. To była tak samo jego wina. A ona była zdruzgotana... Pewnie siedzi tam teraz i wypłakuje oczy. Przestraszył się, ale nie mógł pozwolić, żeby przechodziła przez to sama.

Postanowił już, co należy zrobić. Jeszcze dzisiaj zabierze ją do lekarza. I nie spuści jej z oczu, aż urodzi się to dziecko.

To dziecko. Przeszył go dreszcz. Gdyby nie strach o nią, byłby pijany ze szczęścia. Ich wspólne dziecko, owoc ich miłości. Serce mu się ścisnęło. Następna dziewczynka? Albo brat dla Bobby'ego?

Boże, nie pozwól, żeby coś się stało mojej żonie. Potrzebuję jej. Kocham ją. Potrzebuję jej miłości.

– Marty!

Słaby dźwięk kazał mu zatrzymać konia i nadstawić ucha. Głęboki, męski i pełen niepokoju głos należał do Cala.

Marty zatrzymał konia i poczekał na niego. Jak zwykle Cal jechał na wielkim gniadoszu. Spojrzał czujnie na przyjaciela.

– Co tu robisz?

Nie miał ochoty dzielić się w tym momencie swoim osobistym cierpieniem.

– Jestem kowbojem. Pracuję tu, zapomniałeś?

– Tak? Ty tu sobie pracujesz, a twoja żona łapie samolot do Kalifornii.

Drgnął.

– Co?

– Lyn do mnie zadzwoniła i zasugerowała, żebym pojechał cię znaleźć. Juliette poprosiła ją o odwiezienie na lotnisko. Lyn obiecała to zrobić, ale trochę opóźnia wyjazd. – Cal przyjrzał mu się uważnie. – Może byś mi powiedział, co się, do diabła, dzieje? Dopiero co, ty i twoja śliczna żonka jedliście sobie z dzióbków.

Nie, nie miał ochoty o niczym mówić Calowi. Ale ci dwaj mężczyźni razem dorastali. Znał dobrze Cala McCalla. Wiedział, iż będzie czekał w milczeniu, aż poczuje się tak winny, że nie będzie w stanie tego znieść.

– Posprzeczaaliśmy się – mruknął w odpowiedzi na pytanie.

Czuł narastającą panikę. Wyjeżdża? Odchodzi od niego? To niemożliwe! Kochał ją.

Cal uniósł ciemną brew.

– To musiała być niezła sprzeczka, skoro ona chce wyjechać. A co, powiedziałeś pewnie coś głupiego!

Marty posłał mu cierpkie spojrzenie.

– Ty niby nigdy nie zrobiłeś nic głupiego? Cal wyszczerzył zęby.

– Jestem mężczyzną. Według Lyn, to wszystko wyjaśnia.

– Nachmurzył się. – Chodź. Jeśli chcesz ją zatrzymać, powinniśmy jechać. Nie, nie do domu – dodał, gdy Marty zawrócił konia. – Mamy większą szansę złapać je przy wjeździe na autostradę.

Lyn zatrzymała samochód Cala przed domem Marty'ego. Wskoczyła zza kierownicy i podeszła do drzwi. Juliette czekała na nią w progu.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Jeszcze mi nie dziękuj – odparła Lyn. – Co zaszło między tobą a

Martym? Próbowaliście to wyjaśnić? Wiem, że życie tutaj może się dać we znaki, ale przetrwałaś pierwszą zimę i sezon cielenia, więc myślałam...

– Jestem w ciąży.

Powiedziane beznamyślnie słowa przerwały Lyn w pół zdania. Jej zielone oczy się rozszerzyły.

– To na pewno...

– Marty nie chce dziecka. Lyn się wzdrygnęła.

– Jesteś pewna? Wydawało mi się, że polubił Bobby'ego.

– Uniosła dłonie w geście pełnym beznadziei. – Mógł pomyśleć, że to trochę za szybko, zwłaszcza że macie już dwójkę...

– Nie. On po prostu nie chce mieć więcej dzieci. W ogóle. Lyn otworzyła usta.

– Chyba żartujesz.

– Tak powiedział. – Juliette pokręciła głową i przełknęła gulę, która urosła jej w gardle. – Muszę złapać samolot. Jeśli ty mnie odwieziesz, Marty nie będzie musiał jeździć potem po swój samochód.

Lyn się zawahała. W końcu kiwnęła głową.

– Dobrze.

Juliette wstawiła klatkę Inky'ego na pakę półciężarówka, następnie zaczęła tam wrzucać swoje rzeczy. Potem poszła na górę po Bobby'ego. Musiała go jeszcze przewinąć i przebrać. Zaczęła się martwić o czas. Bała się, że Marty mógłby wrócić do domu. Nie spodziewała się, że będzie ją próbował zatrzymać. Chciała tylko uniknąć kolejnej sceny.

Podbródek jej zadrżał. Zagryzła dolną wargę tak mocno, że ból przewyciężył łzy cisnące się do oczu. Później będzie płakać. Teraz musiała jak najszybciej zniknąć z tego rancza.

Kiedy zeszła na dół, Lyn czekała na nią w salonie. Wstała, gdy Juliette weszła do pokoju.

– Chyba skorzystam z łazienki, zanim ruszymy. Do Rapid jest kawałek drogi. Ostatnio mam kłopoty z pęcherzem.

Wysoka, rudowłosa kobieta położyła dłoń na brzuchu. Ledwie było widać, mimo że to szósty miesiąc ciąży.

– Zresztą sama wiesz, jak to jest.

Juliette kiwnęła głową. Nie ufała swojemu głosowi. Polubiła zarówno Lyn, jak i Silver. Będzie jej ich brakowało. Wzięła Bobby'ego i ułożyła go w foteliku samochodowym.

Kilka minut później Lyn wyszła na werandę.

– Jeszcze sekundę! – zawołała. – Cał gdzieś pojechał. Muszę mu zostawić wiadomość, żeby wiedział, gdzie jestem. – I znowu zniknęła w domu.

Juliette miała wrażenie, że trwało to całe wieki, ale w końcu jej przyjaciółka się pojawiła. Zamknęła dokładnie drzwi, po czym ruszyła ostrożnie przez śnieżne placki w stronę samochodu. Dużo ostrożniej niż biegła w przeciwnym kierunku. Potem nie mogła znaleźć kluczy. W końcu wyciągnęła je z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Do tego czasu wszystkie zmysły Juliette wołały, żeby już jechać. Zagryzła jednak wargę i nie powiedziała ani słowa. Marty mógł się pojawić w każdej chwili.

Wreszcie ruszyły drogą prowadzącą do autostrady. Juliette poczuła, jak jej mięśnie odrobinę się rozluźniają. Z każdym metrem coraz bardziej. Wiedziała jednak, że prawdziwa ulga przyjdzie dopiero wtedy, gdy znajdzie się na pokładzie samolotu lecącego do Kalifornii.

Serce jej zamarło na myśl o Millicent. Miała przed nią stanąć, ciężarna i z niewielkim zasobem środków do życia. Jedno, co dobre, to fakt, że Bobby będzie miał okazję poznać dobrze swoją babkę ze strony ojca. Jeśli Juliette zachowa czujność i będzie stanowcza, może uda się jej uchronić syna przed wpływem, jaki Millicent miała na życie Roba. Sama myśl o tym była zniechęcająca. Zamknęła oczy i oparła znękaną głowę o zagłówek.

Kiedy kilka chwil później samochód zwolnił, otworzyła oczy, spodziewając się zobaczyć wjazd na autostradę. Jednak nie dotarły jeszcze do tego miejsca.

Drogę blokowali dwaj mężczyźni na koniach.

Nim do Juliette dotarło, że została zdradzona, Lyn wyskoczyła na zewnątrz i podbiegła do swojego męża, który zsiadł z konia.

Przez długą chwilę Juliette siedziała jak skamieniała. Nie miała ochoty spojrzeć na drugiego jeźdźcę. Wreszcie ona również wysiadła z samochodu. Ruszyła ku nim. Poniżenie i rozpacz sprawiały, że każdy krok wymagał ogromnego wysiłku. Marty jasno dał jej do zrozumienia, że nie chce dziecka. Nigdy nie powiedział też, że ją kocha. Kiedy za niego wychodziła, nie było jej to potrzebne, ale teraz wiedziała już, że tak nie da się przeżyć życia.

– Juliette. – Głos Marty'ego przerwał gęste milczenie. – Musimy

porozmawiać.

Zignorowała go. Zwróciła się do Cala.

– Skąd ty... Lyn ci powiedziała! – Odwróciła się do Lyn, a w jej oczach błysnęły łzy. – Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką – powiedziała z goryczą. – Chyba powinnam była wiedzieć. Głupio z mojej strony, że liczyłam na pomoc ze strony przyjaciół Marty’ego.

Cal położył uspokajająco dłoń na ramieniu żony.

– Jesteśmy również twoimi przyjaciółmi – powiedział cicho% – Właśnie dlatego nie chcieliśmy patrzeć na to, jak wyjeżdżasz, nie spróbowawszy nawet porozmawiać z Martym.

Nie patrzyła na niego. Jej słodka twarz była chłodna i surowa jak marmurowy posąg.

Wiedział, że nie będzie łatwo. Nagle przeszył go strach jeszcze większy od tego, z jakimi żył dotąd. A jeśli ona nie będzie chciała z nim rozmawiać? Wysłucha go, ale i tak wyjedzie?

Koń Marty’ego stanął dęba, poderwany własnymi, niespokojnymi emocjami. Strach nadal trzymał go w swoich szponach, ale zniknął irracjonalny gniew, który nim powodował od chwili, gdy zobaczył Juliette w promieniach słońca i dostrzegł jej lekko powiększony brzuch. Spojrzał na Cala. Lyn schowała twarz na jego ramieniu.

Jego przyjaciel...

– Czy moglibyście wrócić samochodem na ranczo? – zapytał. – I zająć się przez chwilę dzieckiem?

Cal kiwnął głową.

Juliette skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ten samochód jest mi potrzebny. Muszę zdążyć na samolot.

Lyn nie patrzyła na żadne z nich, wsiadając za kierownicę i zawracając w stronę domu z Bobbym siedzącym z tyłu w swoim foteliku. Cal wsiadł na konia i ruszył za nimi. Po chwili zniknęli za małym wzgórzem.

Juliette patrzyła za nimi. Wyprostowała się i odwróciła od Marty’ego. Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę domu.

– Juliette, poczekaj. Musimy porozmawiać.

– Już powiedziałaś wszystko, co było do powiedzenia. Nie zatrzymała się.

Do diabła! Nigdy nie była taka lodowata, taka zagniewana. Nie zamierzał się jednak poddać. Wyprzedził ją i zeskoczył z konia.

– Nigdzie nie pójdziesz, zanim mnie wysłuchasz – ogłosił.

Zatrzymała się. Najwyraźniej nie miała ochoty się do niego zbliżyć.

– Dobrze. Wobec tego pójde do autostrady i znajdę jakąś pomoc.

Wojowniczo obróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Dobrze. Dość lego. On miał już dość. Poszedł za nią. Zorientowała się za późno. Rzuciła się biegiem, ale on był tuż za nią, złapał ją za ramię i zmusił, by odwróciła się do niego.

– Puść mnie!

To był pisk. Zaskoczyła go prawdziwa wściekłość, z jaką walczyła o uwolnienie się z jego uścisku. Starał się jak mógł ujarzmić ją, nie czyniąc jej jednocześnie krzywdy. W końcu, zmęczony tą szarpaniną, przycisnął jej ręce do boków i przyciągnął gwałtownie do siebie, tak że nie mogła go kopnąć.

Zamarła. On również. Jej ciało było takie miękkie i przyjemne. Słysząc było ich przyspieszone od walki oddechy. Juliette opuściła wzrok na jego wargi, a jego przeszył natychmiast erotyczny dreszcz. Pocałował ją. Mocno, gwałtownie, namiętnie. W końcu przestała się opierać i oddała mu pocałunek.

Wziął ją na ręce, zszedł z drogi i położył ją ostrożnie na miękkiej trawie pokrytej dzwonkami.

– Puścisz mnie?

W jej słowach brzmiał ból.

– Dopiero wtedy, kiedy mnie wysłuchasz.

Oddychając z trudem, spojrzał jej prosto w oczy.

Znowu doznał wzruszenia.

Pląkała. Wielkie łzy spływały w jej włosy. Jej niebieskie oczy spotkały jego wzrok. Dostrzegł w nich głęboki, nieopisany smutek, który wstrząsnął nim do głębi.

Jęknął.

– Nie płacz, aniołku. Serce mi pęka, gdy płaczesz.

– Ty nie masz serca – szlochała. – Nikt, kto ma serce, nie powiedziałby, że nie chce swojego dziecka.

– Wiem. – Wziął ją w ramiona i kołysał, próbując przejąć jej ból. – Wcale tak nie myślę. Nawet nie wiem, czemu to powiedziałem.

– Nie powiedziałbyś, gdybyś tak nie myślał.

Jej głos był stłumiony. Już z nim nie walczyła, ale też nie odwzajemniała

jego uścisków. Znowu przeszył go przeraźliwy strach. Było w niej tyle... rezygnacji.

Czyżby zniszczył najwspanialszą rzecz, jaka pojawiła się w jego życiu, przez swój głupi strach?

– Naprawdę tak nie myślę – powtórzył cicho.

Westchnął. Uniósł jej podbródek i zmusił, by na niego spojrzała. Kiedy ich wzrok się skrzyżował, wyrzucił z siebie wszystko, co czuł.

– Byłem przerażony – powiedział wolno, walcząc ze ściśniętym gardłem.

– Przerażony, że cię stracę. Jesteś taka drobna i delikatna. Mieszkamy tu tak daleko od szpitala.

– Przełknął ślinę. – Nie mogę bez ciebie żyć. Nie potrafię. Kocham cię. Kocham cię tak bardzo, że gdyby ci się coś stało, nie przeżyłbym tego. – Teraz mówił chrapliwym szeptem:

– Cierpiałem, gdy zmarła Lora, ale jakoś żyłem dalej. Musiałem myśleć o Cheyenne. W głębi ducha wiedziałem, że przyjdzie dzień, kiedy znowu się ożenię. Wszystko zaplanowałem, tylko nie mogłem znaleźć odpowiedniej kobiety. A kiedy cię spotkałem, wszystko nagle ułożyło się w idealną całość.

– Marty...

Pokręcił głową i położył jej palce na ustach.

– Pragnę tego dziecka. Pragnę patrzeć na żywy symbol tego, jak bardzo cię kocham. Chociaż coś we mnie krzyczy również ze strachu, że mógłbym stracić ciebie podczas porodu. – Głos mu się załamał, musiał na chwilę przerwać, żeby się uspokoić. – Nie mogę cię stracić.

A ona wciąż płakała. Uniosła ręce i położyła mu je na policzkach. Odczytał wyraz jej twarzy i zamknął z ulgą oczy.

– Kocham cię – powiedziała. – Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia. Wciąż sobie powtarzałam, że to szaleństwo, że nie istnieje miłość od pierwszego wejrzenia. Nie mogłabym się smucić tym, że noszę twoje dziecko.

Upokorzony jej niesłabnącą miłością, pocałował ją z szacunkiem w rękę.

– Zastosujemy wszystkie zabezpieczenia, jakie będziesz chciał – powiedziała. – Jeśli to ma ci poprawić samopoczucie, przeprowadzę się do miasta. Wynajmę mieszkanie blisko szpitala. Tylko się uspokój. I nie zamartwiaj się tak. Już mam jedno dziecko, zapomniałeś? Poród trwał tylko sześć godzin.

Poszło wyjątkowo łatwo. Bobby ważył ponad cztery kilogramy. Lekarz

powiedział mi, że jestem stworzona do rodzenia dzieci. Poradzę sobie. – Po czym dodała cicho: – My sobie poradzimy.

Pocałował ją. Długo, słodko.

– Chcę ci uwierzyć.

– To uwierz. Mamy przed sobą całe wspólne życie. Razem z naszymi dziećmi.

Gwizdnął na konia, a kiedy stanął obok, uniósł żonę i posadził ją w siodle. Potem wskoczył na grzbiet za nią.

– Jedźmy do domu.

– Dom – powtórzyła. Obrócił ją nieco i pocałował.

– Dziękuję ci – powiedział. – Za to, że mnie pokochałaś.

– To nic trudnego. Jej oczy lśniły.

EPILOG

Trwało przyjęcie z okazji chrztu.

– Proszę bardzo. Gość honorowy jest już czyściutki, suchy i nakarmiony – powiedziała Juliette, podchodząc z trzymiesięczną Analisą do grupy zgromadzonej w cieniu wielkich drzew w ogrodzie.

– I bardzo dobrze – powiedział Deck, wstając od stołu. – Pójdę pomóc Calowi i Marty’emu w lekcjach jazdy konnej. Zdaje się, że mają pełne ręce roboty.

Wskazał w kierunku zagrody. Dwójkę mężczyzn i dwa konie otaczała gromada dzieci.

– Weź ją – powiedziała Silver, podając mu ich dwuletnią córeczkę, Genie. – Potrzymaj ją i sprawdź, jak idzie Erice. Ja pomogę posprzątać ze stołu.

Lyn podniosła głowę. Siedziała na krzeselku i karmiła swoje trzecie dziecko, sześciomiesięcznego Jonathana.

– Poczekajcie z tym, aż on się naje. Wtedy też będę wam mogła pomóc.

– Niech będzie. – Silver usiadła z powrotem na krześle i zachichotała. – Hej, jak ja to zrobiłam? Wszystkie dzieci sprzedane.

Trzy kobiety zaśmiały się cicho.

– Ja już zapomniałam, jak to jest – powiedziała ze smutkiem Juliette.

Spojrzała na pastwisko, gdzie ośmioletnia Cheyenne nosiła na rękach średnie dziecko Lyn, Julię. Dzieci Cala i Lyn wyróżniały się w dumie, bo wszystkie miały ogniście rude kędziory swojej matki.

– Właściwie to ty i Marty nie mieliście nigdy okazji побыć trochę bez dzieci – zauważyła Silver. – Nie będziecie wiedzieli, co ze sobą począć, jak cała piątka dorośnie i pójdzie sobie z domu.

Juliette uniosła brew i uśmiechnęła się.

– Och, znajdziemy sobie zajęcie.

Lyn parsknęła tak głośno, że przestraszyła Jonathana, który machnął energicznie rączką, nim wrócił do posiłku.

– Wy dwoje jesteście wręcz nieprzyzwoici! Nikt wam nie powiedział, że dorosłym nie wypada cały czas całować się na tylnym siedzeniu samochodu i obściskować publicznie?

Silver też śmiała się w głos.

– Ale, ale, przygarnął kocioł garnkowi. Zdaje się, że to ty masz trójkę dzieci poniżej trzeciego roku życia, prawda? – Wstała. – Lepiej zajmę się tymi naczyniami, nim sama wpakuję się w kłopoty.

– Też się do tego zabieram, tylko zaniósę Analisę Marty’emu.

Juliette wstała i ruszyła w stronę zagrody. Marty i Cal trzymali dwie potulne klacze. Na grzbiecie konia Cala siedziała trzyletnia bratanica Marty’ego, Erika, i własny synek, Jason, pół roku od niej młodszy.

Marty trzymał się blisko swojego wierzchowca. Nie spuszczał czujnego oka ze scenki, którą można by zatytułować „Kłopoty na końskim grzbiecie”. Bobby, czteroipółroczny żywiołowy chłopiec, siedział z przodu, a za nim jego bracia, bliźniaki Aaron i Neil. Każdego z tych małych łobuziaków można było zresztą podejrzewać o wszystko. Wszyscy synowie Juliette mieli jej jasne włosy, choć bliźniaki odziedziczyły gabaryty ojca, dzięki czemu niemal dorównywały wzrostem Bobby’emu. Ludzie często brali ich za trojaczki.

Juliette weszła do zagrody i zamknęła za sobą bramkę. Podeszła do Marty’ego, który podał lejce Deckowi.

– Cześć, kowboju – powiedziała. – Co powiesz na randkę dziś wieczorem?

Mąż otoczył ją ramieniem. Rozluźniła się w znajomych objęciach. Przełożyła dziecko z jednej ręki na drugą.

– Czemu nie? – powiedział, przesuwając wzrokiem po jej ciele, zatrzymując się dłużej na wysokości dekoltu. – A może by tak jakaś drobna zapowiedź, żebym nie usechł z tęsknoty?

Uniosła głowę, zarzuciła mu wolną rękę na szyję i zaplątała palce we włosy.

– Niech będzie. Byle nie za dużo, żeby zostało ci trochę energii.

Kiedy ją pocałował, zamknęła oczy. Przypomniała sobie dzień, w którym wysiała do niego pierwszy list. Kiedy wypuścił ją z objęć, powiedziała:

– Wiesz, kiedy odpowiedziałam na twoje ogłoszenie, miałam potem ochotę wcisnąć się do skrzynki pocztowej i wyłowić z niej Ust. Wydawało mi się, że to jedna wielka pomyłka.

– To by było wyjątkowo złe posunięcie. – Pokręcił głową. – Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, aniołku.

Uśmiechnęła się. Staneła na palcach i pogłaskała go po karku, aż znowu

opuścił głowę i ją pocałował.

– Kocham cię.

Z końskiego grzbietu dobiegł ich dziecięcy głos:

– Fúj. Tatuś całuje mamę. Znowu.

I cała trójka parsknęła śmiechem.

Marty uniósł głowę i przyjrzał się synom. Juliette starała się powstrzymać wybuch śmiechu.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy każdy z was się zakocha.

– Ja się nie zakochani – powiedział twardo Bobby. – Nie zamierzam się żenić!

– Ani ja – powiedział Aaron.

– Ani ja – powiedział Neil.

Ich rodzice nic na to nie powiedzieli. Znowu się całowali.